Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

● PÓŁTORA ROKU ZA „STRAJK" ● PRZED PAKTEM RIBBENTROP-MOŁOTOW ● WAKACJE Z BRONIĄ 1920 ● BEZ DOJAZDU ● ZABÓJSTWO Z LITOŚCI? ● W STAREJ JEROZOLIMIE ● WSCHODNI „RENAULT"?

TYGODNIK WSCHODNI

PL ISSN 0860-3830

relacje

LUBLIN, 17-23 VIII 1989 R. NR 31 CENA 120 ZŁ

Matka mówiła mu, że za Polskę zawsze wywożono kibitką

SZPIEG REAGANA

DRZWI zamknęły się z hukiem. Klawisz przekręcił klucz w zamku. Potem zapadła głucha cisza. W ponurej, ciemnej celi ze śmierdzącym kubłem na gówna świat zatrzymał się dla mnie w miejscu. Siedziałem na twardej pryczy, paląc nerwowo papierosa za papierosem. Myśli kłębiły się w głowie jak zwariowane. Ogarnął mnie zwykły ludzki strach. Ja, lekarz-chirurg, mający za sobą dziesiątki operacji, po prostu bałem się. Roztrzęsionymi rękami paliłem ostatniego papierosa, patrząc z przerażeniem na dno pustej paczki, w której pozostały tylko okruchy tytoniu. Kończył się upalny majowy dzień, kolejny dzień stanu wojennego. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że następne pół roku przesiedzę w więziennych murach...

13 grudnia zaskoczył mnie na dyżurze w szpitalu. W mroźny zimowy poranek słychać było natrętnie powtarzające się słowo: „wojna". W telewizji, zamiast programu dla dzieci, wystąpił generał, obwieszczając narodowi wprowadzenie stanu wojennego. To był szok. Pamiętam reakcje ludzi na oddziale. Nerwowy śmiech, płacz, lęk w oczach i ciągle powtarzające się pytanie: co dalej? Nikt z nas nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Sierpień, Gdańsk, „Solidarność" — to wszystko zostało przekreślone jedną decyzją. Czołgi wyjechały na ulice miast. Wtedy po raz pierwszy było mi wstyd, że należę do partii, która spowodowała tyle ludzkich nieszczęść i dramatów.

◆

13 maja miał się odbyć 15-minutowy, ogólnopolski strajk protestacyjny. Tego dnia razem z kolegą-lekarzem zostałem oddelegowany do pracy w komisji rekrutującej poborowych do wojska. Punktualnie o godzinie 12 mieliśmy przerwać pracę. Niestety, kolega nie wytrzymał napięcia i wyszedł z sali do toalety. Ja zostałem. Wiedziałem, że istnieję tu tylko dla siebie i przed sobą, że mój moralny protest przeciwko sile i bezprawiu niczego nie zmieni. Czułem jednak wewnętrzną potrzebę dotrwania do końca, aby moja wiara w człowieka nie skończyła się tu, na tej sali. Odłożyłem słuchawki, przypiąłem znaczek „Solidarności" do lekarskiego kitla i przesiedziałem „spokojnie" 15 minut, po czym przystąpiłem do pracy.

Wieczorem ktoś zawiadomił mnie w domu, że następnego dnia o godzinie 7 rano mam się stawić u dyrektora szpitala. Co też i uczyniłem. Siedziało już tam dwóch oficerów WP, którzy, nie wdając się w zbędne dyskusje, oznajmili, że razem z nimi mam jechać do Lublina. Na Spadochroniarzy zostałem zaprowadzony do gabinetu generała. Oprócz niego w pokoju było trzech czy czterech wyższych oficerów, którzy mierzyli mnie ponurym wzrokiem od stóp do głów. Komendant z miejsca przystąpił do ataku, zarzucając mi współpracę z Reaganem. Osłupiałem. Wszystkiego mogłem się spodziewać, tylko nie tego, że ktoś będzie usiłował mi wmówić działalność na rzecz obcego wywiadu. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się na procesie z okresu stalinowskiego. Mimo to usiłowałem wytłumaczyć przyczyny swojego postępowania. Wydawało mi się, że szczera rozmowa zmieni ich sposób myślenia. Znacznie później zrozumiałem, jak bardzo myliłem się w swej naiwności. Generał mówił coś jeszcze o obowiązku wobec ojczyzny i poszanowaniu prawa przez obywateli, co w sytuacji stanu wojennego brzmiało tragikomicznie. Milczałem. „Audiencja" dobiegała końca.

W pokoju sekretarki czekał na mnie jakiś cywil, który zakomenderował krótko: „Idziemy!" Dokąd? Dlaczego? — zapytałem. Ale w odpowiedzi usłyszałem jeszcze raz krótkie: „Idziemy". Na dole czekał już samochód, którym przewieziono mnie do komendy na Północnej. Tam bez słowa wyjaśnienia wprowadzono do celi. Drzwi zamknęły się z hukiem. Klawisz przekręcił klucz w zamku. Potem zapadła głucha cisza. Czułem się wyjątkowo podle. Cela nie była skanalizowana, a blaszana beczka zastępowała sedes. Obrzydliwie wyglądający koc i jakieś dwa rozsypujące się materace dopełniały całości obrazu. Siedziałem brudny, spocony, z resztką papierosów w kieszeni.

Późnym wieczorem klawisze wrzucili do celi kompletnie pijanego człowieka. Był tak zamroczony, że zasnął od razu snem sprawiedliwego. Tylko głośne pochrapywanie przypominało mi o jego obecności. Zupełnie wyczerpany położyłem się na materacu i usnąłem ciężkim, duszącym snem. W nocy obudziłem się zlany potem. Zastukałem do drzwi, zza których rozległ się gruby kobiecy głos: „Czego?" Poprosiłem o wypuszczenie do toalety. Na co usłyszałem: „Do kubła srać!" Tak skończyła się nasza rozmowa, krótka i pouczająca.

Rano, po koszmarnej nocy, zaprowadzono mnie do pomieszczenia, które chyba tylko z nazwy można uważać za toaletę. Musiałem opróżnić kubeł z fekaliami, wypłukać i nalać do niego wody. Przy okazji mogłem się sam ochlapać, używając do wytarcia kawałków gazety leżącej koło sedesu. W celi dostałem kawałek suchego chleba i kubek zimnej czarnej kawy. Zjadłem. Siedzę i znowu myślę: co dalej? A czas dłuży mi się jak w poczekalni u dentysty.

Dokończenie na str. 12

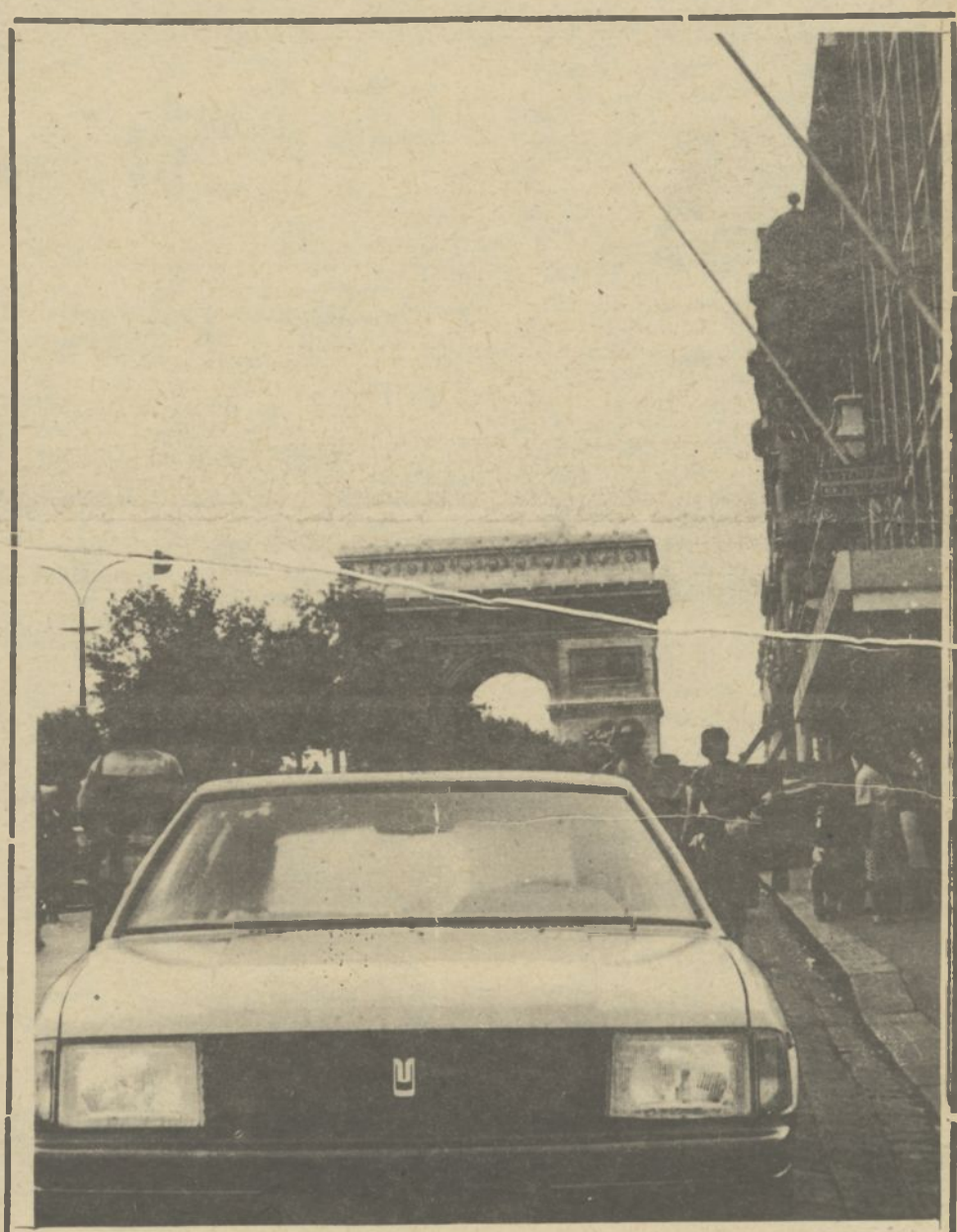

Fot. W. Piasecki

„Relacje" testują nowego „Moskwicza"

TAKI WSCHODNI „RENAULT"

Waldemar Piasecki

EUGENIUSZ Truszkowski, zastępca dyrektora białostockiego „Polmozbytu", jest człowiekiem przypominającym zawodowego pokerzystę z amerykańskiego „czarnego kryminału". Twarz kamienna, nieruchome oczy. Mówi tym samym beznamiętnym głosem. I nigdy nie wiesz, czy żartuje i opowiada jakiś kawał, czy też może mówi serio. Do kawałów ma natomiast niesamowitą pamięć. No więc, kiedy już wysłuchałem serii o „pierestrojce", o wyborach oraz o Gorbaczowie, Jaruzelskim i Bushu, kiedy skomplementowałem gabinet dyrektorski, urządzony z gustem i elegancją wprost ze scenariuszy Judith Kranz, kiedy dopiłem kawę z ekspresu, Truszkowski powiedział: „No to teraz na lotnisko. »Moskwicz« czeka gotowy do startu". Popatrzyłem uważnie na rozmówcę, bo istotnie umawiałem się na testowanie najnowszego „Moskwicza", opatrzonego symbolem

Dokończenie na str. 12

relacje
ZE ŚWIATA

● W wyniku jednostronnej decyzji władz bułgarskich celnicy tego kraju odmawiają stemplowania talonów tranzytowych NBP turystom polskim przejeżdżającym tranzytem do Turcji i Grecji. Decyzja ta uniemożliwia Polakom jakiekolwiek zakupy na terenie Bułgarii. Polskie MSZ zażądało od ambasady bułgarskiej wyjaśnień w tej sprawie.

● Rada Najwyższa Estońskiej SRR wprowadziła poprawkę do ordynacji wyborczej, ograniczając czynne i bierne prawo wyborcze w zależności od czasu zamieszkiwania na terenie Estonii.

● W Tallinie strajkowali obywatele narodowości rosyjskiej na znak protestu przeciwko uznaniu estońskiego za język urzędowy oraz ograniczeniu praw wyborczych do terenowych organów władzy wobec napływowej ludności tej republiki. Władze estońskie uznały ten strajk za nielegalny.

● 90 procent Litwinów opowiada się za tym, by na terytorium Litwy obowiązywało wyłącznie obywatelstwo litewskie.

● Trwa konflikt między dwoma ugrupowaniami opozycji afgańskiej na tle wymordowania 30 dowódców z Islamskiego Stowarzyszenia Afganistanu, popieranego przez Iran. Gulbeddin Hekmatyar, przywódca Islamskiej Partii Afganistanu, odpowiedzialnej za tę masakrę, oskarżył Iran o mieszanie się w wewnętrzne sprawy opozycji afgańskiej.

● Nie przyniosło rezultatów amerykańsko-radzieckie spotkanie w sprawie dalszej redukcji pomocy wojskowej dla stron konfliktu afgańskiego.

● Po zakończeniu wizyty w Afganistanie min. spraw zagranicznych ZSRR Eduard Szewardnadze udzielił wywiadu agencji prasowej Bachtar. Stwierdził, że radziecka pomoc militarna dla rządu Nadżibullaha jest zgodna z porozumieniami genewskimi. Szewardnadze wskazał też na „bardzo pozytywne stanowisko Iranu, opowiadającego się za szerokim dialogiem wewnątrzafgańskim".

● Amerykańscy eksperci szacują radziecką pomoc wojskową dla władz afgańskich na 2,5—3 mld dolarów rocznie. Jest to dwukrotnie więcej niż w czasie, kiedy w Afganistanie stacjonowały wojska radzieckie.

● Premier tymczasowego rządu opozycji afgańskiej Abdul Rasul Sajjaf oświadczył: „Nie jesteśmy niczyimi niewolnikami, chyba, że Allacha. Żadne z dwóch wielkich mocarstw nie jest naszym orędownikiem i nie jest w stanie narzucić nam swojej polityki. Oświadczamy uroczyście, że tylko afgańscy mudżahedini mają prawowity tytuł do decydowania o przyszłości Afganistanu".

● Nasilają się walki wokół Kabulu i Dżalalabadu.

● Zawiesiło swoją działalność przedstawicielstwo dyplomatyczne RFN w Berlinie. Na terenie ambasady zachodnioniemieckiej przebywa 130 obywateli NRD. Również na terenie ambasady RFN w Budapeszcie przebywa grupa enerdowców, ubiegających się o azyl w Republice Federalnej Niemiec.

● Premier Margaret Thatcher wygrała kolejną batalię ze związkami zawodowymi. Stosunkiem głosów 3:1 postanowili powrócić do pracy dokerzy z Liverpoolu. Byli oni ostatnią grupą portowców strajkujących przeciwko nowemu układowi zbiorowemu. Zwolniono z pracy kilkuset dokerów. Dzięki przerzutom towarów do portów nie objętych strajkiem i poczynionym wcześniej zapasom ładunków masowych — przeciętny Brytyjczyk nawet nie zorientował się, że trwa strajk.

● Zakończył pomyślnie lot amerykański prom kosmiczny Columbia. Umieścił on na orbicie okołoziemskiej dwa tajne satelity szpiegowskie.

● Na Bliskim Wschodzie bez zmian. Trwa impas w sprawie uwolnienia zakładników z rąk szyickich terrorystów.

● Egipska służba bezpieczeństwa wykryła nielegalną terrorystyczną organizację „Nowa Rewolucja Islamska". Zmierzała ona do obalenia istniejącej władzy w Egipcie.

● Prasa czechosłowacka informuje, że z dnia na dzień rośnie liczba protestów, jakie w związku z petycją „Kilka zdań" napływają do redakcji i instytucji centralnych, z powodu kwestionowania przez opozycję dorobku socjalistycznej Czechosłowacji oraz sugerowania, iż w kraju nie są przestrzegane prawa człowieka.

Załogi licznych zakładów i przedsiębiorstw podejmują spontanicznie — jak donoszą dzienniki — zobowiązania produkcyjne, świadczące o ich twórczym stosunku do rzeczywistości i wyborze takiej, a nie proponowanej przez opozycję, drogi rozwoju Czechosłowacji. Na przykład górnicy kopalni im. Fuczika w Ostrawie zadeklarowali „osiemnaście konkretnych czynów na cześć XVIII Zjazdu KPCz". Pracownicy rozgłośni radiowej w Czeskich Budziejowicach zobowiązali się do zwiększenia czasu emisji o 75 minut, bez dodatkowych etatów i wynagrodzeń.

● W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" były sekretarz generalny KC KPCz Aleksander Dubczek stwierdził: „Trzeba oficjalnie przyznać, że 21 sierpnia 1968 roku nasi sojusznicy z pięciu krajów socjalistycznych przemocą doprowadzili do zmiany kursu politycznego w Czechosłowacji. [...] Interwencja wojskowa była bezprawna".

● W artykule „Zrobić porządki na własnym podwórku" dziennikarz „Rudeho Prava" pisze m. in. „Większość mieszkańców naszego kraju nie tęskni do zamętu, jaki w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej wywołała właśnie «Solidarność», do chaosu gospodarczego, pustych sklepów i inflacji, nie życzy sobie powrotu kapitalistycznych posiadaczy, wyzysku człowieka przez człowieka, orientacji politycznej na zachód. Mamy bowiem własne doświadczenia".

relacje
Z KRAJU

● W wywiadzie telewizyjnym marszałek Sejmu Mikołaj Kozakiewicz ujawnił kulisy zgłaszania kandydatur na premiera. „Kandydatura gen. Czesława Kiszczaka była trzecią kolejną kandydaturą na premiera — powiedział. — Pierwszą osobą, której prezydent Wojciech Jaruzelski zaproponował objęcie szefostwa rządu, był prof. Władysław Baka, drugą — prezes NK ZSL Roman Malinowski. Obaj odmówili, głównie z tego powodu, że rząd, który miał powstać, miał być rządem małej a nie dużej koalicji".

● Senat podjął uchwałę o postawieniu przed Trybunałem Stanu osób odpowiedzialnych za naruszenie ustawy budżetowej.

● Poseł Ryszard Bugaj (OKP) został przewodniczącym komisji nadzwyczajnej do spraw przeanalizowania działalności i oceny ustępującego rządu.

● W Pile otwarto oficjalnie biuro senatora Henryka Stokłosy. Pracami biura kieruje asystent senatora, dziennikarz „Tygodnika Pilskiego" Jacek Prześluga. „Rzeczpospolita", która o tym informuje, nie podaje wysokości uposażenia asystenta senatora.

● Nieprzerwanie trwają akcje strajkowe w całym kraju. Z reguły kończą się sukcesem strajkujących. Np. załoga zakładów przetwórstwa owocowo-warzywnego w Międzychodzie (woj. gorzowskie) uzyskała podwyżkę średnio o 65—70 tys. zł na pracownika. Pracownicy PKS otrzymają po 75 tysięcy na głowę.

● Pensja lekarza z 15-letnim stażem pracy: 72 tys. złotych. Pielęgniarki po 30 latach pracy — 63,5 tys. Szeregowy milicjant zarabia 101 tysięcy, inspektor w stopniu porucznika po ośmiu latach pracy — 166 tys. zł. Tyle samo co profesor zwyczajny uniwersytetu. Wolnorynkowa cena kilograma baleronu dochodzi w niektórych rejonach do 13 tysięcy.

● Po spotkaniu z premierem Czesławem Kiszczakiem szef Stronnictwa Pracy Władysław Siła-Nowicki powiedział dziennikarzowi PAP: „Mogę powiedzieć, że wzajemnie doskonale się rozumiemy. W różnych kwestiach możemy się różnić, ale rozumiemy się bardzo dobrze. Bardzo pozytywnie oceniłem wybór Czesława Kiszczaka na premiera i uważam, że jest to człowiek najwłaściwszy, najodpowiedniejszy na premiera, gdyż z jednej strony — ma mocną pozycję w partii, zawsze reprezentował w niej nurt postępowy i liberalny, a z drugiej — uważam go za architekta »okrągłego stołu«".

● Minister przemysłu Mieczysław Wilczek w wywiadzie dla poznańskiego tygodnika „Wprost" na pytanie, czy wziąłby udział w pracach nowego rządu: „Na pewno do tego się nie palę. Mam po prostu świadomość ogromnych trudności, jakie stoją przed nowym rządem w zupełnie nowej sytuacji. Nowy rząd powinna stworzyć partia, która ma największe poparcie społeczne, a więc ta, która wygrała wybory. Tymczasem na nasze prawdziwe nieszczęście wybory wygrała nie jakaś partia, a związki zawodowe".

● Mieczysław Wilczek nie przyjął oferty premiera Kiszczaka wejścia do składu nowego rządu.

● W Katowicach powstał Społeczny Komitet Obrony Interesów Wyborców. Zbiera podpisy pod wnioskiem o odebranie mandatu senatorskiego Andrzejowi Wielowieyskiemu. Komitet uważa, że część posłów i senatorów, oddając głosy nieważne, umożliwiła wybór gen. Jaruzelskiego na prezydenta.

● W Fabryce Urządzeń Mechanicznych w Ostrzeszowie 136 osób zrezygnowało z członkostwa SD, protestując w ten sposób przeciwko pozostawaniu Stronnictwa w koalicji z PZPR. Do Ostrzeszowa przybył Jerzy Jóźwiak, przewodniczący CK SD.

● Przewodniczący Klubu Poselskiego ZSL Aleksander Bentkowski stwierdził, że jeżeli Stronnictwo opowie się jednoznacznie po stronie PZPR, przestanie istnieć jako partia polityczna. „Uważam — powiedział — że partia jeśli ma być samodzielna, suwerenna, musi mieć prawo do swobodnego nawiązywania koalicji, do swobodnych decyzji".

● Alfred Miodowicz stwierdził, że obecny parlament jest „emanacją kompromisu między starą, samouwłaszczającą się poprzez spółki biurokracją a intelektualnymi elitami opozycji". Nie gwarantuje to — zdaniem szefa OPZZ — zerwania z polityką „uleganiа dyktatowi prywaty i obcego kapitału".

● „Urynkowione" sklepy w całym kraju nadal puste. Wyścig między cenami rynkowymi a płacami zindeksowanymi kończy pierwsze okrążenie.

● W punktach skupu oczekiwanie na... wyczekujących.

relacje
Z REGIONU

● Trwa oblężenie stacji benzynowych w regionie, spowodowane obawami kierowców co do kolejnej podwyżki cen paliw.

● Strajkowali kierowcy autobusów w Chełmie i kioskarze w Białej Podlaskiej.

● Telewizja podała informację o „przełamaniu monopolu skupu żywca" w woj. lubelskim. Zakłady Mięsne w Lublinie mają ponoć same skupować żywiec w obawie przed konkurencją GS-ów.

● W województwie lubelskim pogłowie świń spadło o 20 proc. w stosunku do roku ubiegłego.

● Dotowane ceny mięsa i wędlin, sprzedawanych przez sklepy firmowe Zakładów Mięsnych w Lublinie, wynosiły w ub. tygodniu: schab — 4000 zł, łopatka — 2200 zł, żeberka — 1100 zł, baleron — 5000 zł, szynka — 5500 zł, polędwica — 8500 zł, kiełbasa zwyczajna — 1750 zł.

● Tadeusz Filipek, z-ca dyrektora Lubelskich Zakładów Graficznych w wypowiedzi dla „Kuriera Lubelskiego" na temat fatalnej jakości druku prasy: „Mamy złej jakości polskie filmy fotograficzne, które są prawie przeterminowane. Najgorzej jest jednak z papierem. W ubiegłym miesiącu były takie dni, że jego zapasy pozwalały na pracę maszyn rotacyjnych przez jedną godzinę. Zmuszeni byliśmy wykorzystywać wszystko, co było w naszych magazynach, nawet papier niepełnowartościowy, mający już cztery lata".

DO CZYTELNIKÓW

W części nakładu poprzedniego (30) numeru str. 7 i 10 były nieczytelne. Nie nasza to wina, lecz poligrafii (czytaj obok wypowiedź dyr. Filipka). Niemniej przepraszamy Czytelników i autorów tekstów.

Redakcja

TELEWIZYJNY HIT TYGODNIA

Wojciech Łaszczki, kierownik zakładu naprawy telewizorów nr 10 w Lublinie: — Telewizję z konieczności śledzę jednym okiem. Bez wątpienia za najciekawszy program ubiegłego tygodnia uznałbym „Makbeta" w poniedziałkowym teatrze telewizji. Była to interesująca inscenizacja, Szekspir pokazany inaczej. Zgromadzono znakomitą obsadę, a sztuka prowokowała do dyskusji. Mam dzieci w wieku szkolnym, co dodatkowo jeszcze skłoniło mnie do obejrzenia tego spektaklu. Oglądałem go z prawdziwym zaciekawieniem. Nie bez refleksji wszakże, iż Szekspir zawsze prowokuje do dyskusji nad bieżącą polityką. Ciekawe były bowiem także parlamentarne debaty. Człowiek odnosi je do własnej sytuacji, do problemów własnego środowiska.

Czekam na ten zapowiedziany koniec monopolów. U nas też przydałoby się zerwanie z wyłącznością „Unitry" na naprawę najnowszego sprzętu, na dostęp do nowoczesnej technologii. Mam jednak wrażenie, że tak naprawdę niewiele się zmieniło, że sporo z tych poselskich i senatorskich dyskusji to zwykłe bla, bla. A na premiera potrzeba naprawdę silnego człowieka z ogromnym autorytetem.

Kazimierz Malec, technik budowlany z Poniatowej: — Teraz w telewizji nie ma co oglądać. Powtarzają tylko bez końca stare seriale. W poniedziałek siadłem jednak z rodziną przed telewizorem i wciągnął mnie „Makbet" Szekspira, choć na ogół nie lubię teatru. W kinie to wszystko wydaje się bardziej naturalne, bliższe życiu, bardziej prawdopodobne; teatr to taka gra „dla wtajemniczonych". A jednak, pewnie ze względu na aktorów, zacząłem oglądać i wytrwałem do końca. To był popis. Znów przekonałem się, że w tej wielkiej literaturze jest mnóstwo prawdy o człowieku. Kiedy człowiek usłyszy „Szekspir" myśli sobie „nuda", ale kiedy się to obejrzy, coś w nim z tamtej mądrości pozostaje.

Janina Korniak, pielęgniarka: — Moim ulubionym aktorem jest Daniel Olbrychski, ostatnio bardzo rzadko pokazywany. Dlatego obejrzałam „Makbeta", bo przeczytałam w gazecie, że on będzie grał. Ta sztuka była już zresztą pokazywana, ale wówczas jej nie widziałam. W poniedziałki rzadko włączam telewizor na teatr. A jednak coś jest w dobrych sztukach teatralnych. Gdyby człowiek miał więcej czasu, to wybrałabym się nawet na spektakl „na żywo". Takie sztuki jak „Makbet" pamięta się trochę ze szkolnej lektury, ale ta wersja była wspaniała. Ile w tym prawdy o życiu, o władzy, o wielkości i upadku człowieka. Wspaniałe zdjęcia, plenery, stroje. No i gra aktorów. Obok Olbrychskiego najbardziej podobał mi się pan Żentara. Takie sztuki powinny być dla młodzieży obowiązkowe. Dzisiejsze książki i dzisiejszy teatr nie umywają się do dzieł wielkich mistrzów.

Andrzej Grochowski, muzyk rockowy, student: — Nic, nic, nic. „Makbet" przechodzony. Wybór Urbana na szefa telewizji to jej klęska.

Świat wokół nas

KOLEJNY felieton z cyklu „Świat wokół nas" miał być równie polityczny jak poprzednie i poświęcony tym razem Entifadzie — powstaniu palestyńskiemu. Waga dziejących się tam wydarzeń, rzecz jasna, nie zmalała (ostatnio Izrael wydał nawet dekret pozwalający na przetrzymywanie podejrzanych w areszcie śledczym do roku czasu). A jednak zdecydowałem się temat ten odłożyć. Po raz kolejny bowiem poruszył mnie i zbulwersował świat nam najbliższy; ten dziejący się za oknem, rozgrywający się w zasięgu ręki — wykoślawiony świat polskiego „drgnienia nadziei", ale i bezprzykładnego chaosu, godności, ale i upodlenia, historycznych wysiłków i moralnego dna.

Wizerunek Polaka, dzielącego swe życie między skrajności, nie jest niczym odkrywczym. Prawda o dwóch obliczach naszego narodu jest dobrze zakorzeniona wśród obserwujących nas cudzoziemców. Heroiczny awers naszego wizerunku wydobywa się zresztą na ogół jedynie na użytek rodzimej megalomanii. Kiedyś Bernand Margueritte powiedział, że największym bogactwem naszego kraju jest Polak; Hamilton w „Kulturze" zareplikował, że Polak to uosobienie skundlenia współczesnej Europy. Oto, jak wspomniane powyżej racje kłócą się na co dzień. W czasach „małej stabilizacji" mogliśmy przynajmniej mówić o nijakim obliczu rodaka, dziś, w epoce rozbuchania zagrożeń, szarość nabiera nagle barwy, a nijakość przemienia się w jawną agresję.

Rozmawiając niegdyś z rolnikami jednej z podlubelskich wsi, zapytałem ich, kiedy to doczekamy się w naszym krajobrazie kolorowych domków, krótko przyciętego trawnika, piątkowego spaceru do lśniącej czystością lokalnej knajpki, gdzie wypić można parę kufelków chłodnego piwa i pobawić się w miotanie rzutkami do tarczy. Odpowiedział mi głupkowaty śmiech. A przecież trzysta kilometrów na zachód od Poznania tak żyje świat. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. To najprawdziwsza norma.

Pamiętam, jak niegdyś, siedząc z książką w oknie akademika, słuchałem złorzeczeń robotników układających przed budynkiem kable. Było tam wiele o nieróbstwie, porubstwie i lekkim życiu „okularników". Tamte pomrukiwania dziś zmieniły się w warczenie. Chłop miota przekleństwa na miasto, miasto na chłopa, robotnik na inteligenta, a inteligent na robotnika. Dzieje się tak dlatego, że w „społeczeństwie sprawiedliwości" zabrakło rozsądku. Stoczniowiec zarabia pół miliona, profesor uniwersytetu sto tysięcy, sprzątaczka trzysta, a nauczyciel siedemdziesiąt. Do rozbełtanego tygla wciąż wrzuca się argumenty o tych, co nie chcą żywić, i o tych, co zbyt dużo jedzą, o tych, co marnują czas nad książką, i o tych, co za jednym przyłożeniem stetoskopu wyrywają biednemu wieśniakowi góry złota. Zakładane społeczeństwo harmonii, czasowo tylko ujęte w karby ślusarsko-murarskiej dyktatury, zamieniło się w piekło podchodów, zawiści, zaciekłych partykularyzmów. Poza naszą dziwaczną hemisferą „postępu" nigdzie już na

Nie o tym wszakże chciałem. Chciałem o rozpychaniu się łokciami i honorze, o chamstwie i tradycji rodziny, o dyktaturze szmalu i humanistycznym posłannictwie. Kiedy w 1973 roku zamordowano prezydenta Alliende, kapitalistyczny premier Wilson przeszedł z wielotysięcznym tłumem w protestacyjnej demonstracji. A przecież dla jego politycznych celów przewrót w Chile był zjawiskiem nader korzystnym. Alliende był jednak prezydentem wybranym demokratycznie i jego śmierć zasługiwała na potępienie. Opowiadał mi niedawno znajomy, jak to w Oxfordzie profesorowie zasiadają do obiadu na dźwięk gongu, jak posiłek trwa ponad godzinę, jak najpierw zajmują miejsca starsi wykładowcy i jak potem „przechodzi się na cygara". Jeden z młodych Anglików powiedział

szała je przerażająca inflacja, zżerała obłędna karuzela cen. Coraz ciaśniej było w moim świecie. Brak jakości coraz bardziej wciskał się do kawiarni i do wagonów pierwszej klasy, na korytarz mojego bloku i do przedszkola mojego dziecka, Ba, kiedyś musiałem nawet odmówić zeznań sędzinie, która przywitała mnie atakiem arogancji i zwymyślać milicjanta, który zatracił zdolność odróżniania kryminalisty od spokojnego obywatela. Tak było przez wszystkie te lata. Przez drugą (pierwszej nie pamiętam), trzecią i czwartą Polskę. Teraz jednak nadszedł czas załamania. Coraz wyraźniej pojawia się widmo walki o najprostszą egzystencję, o utrzymanie się na powierzchni. Dziś już nawet cztery ściany własnego mieszkania nie będą mogły stanowić azylu.

BEZ ZNAKU JAKOŚCI

Wiesław Horabik

świecie nie dzieli się społeczeństw na klasy. Wbity w garnitur robotnik w najnowszym typie forda nie różni się niczym od ministerialnego urzędnika, okrutny kapitalizm wprowadził na uniwersytety przedmiot „harmonia pracy i wypoczynku", a na 1995 rok zaplanował skrócenie tygodnia pracy do czterech dni.

Klucz do zrozumienia naszej sytuacji leży tymczasem wciąż w zdolności do percepji absurdu, w umiejętności życia w świecie ułudy i nonsensu. Coraz potężniej rozrastają się pałacowe wille na obrzeżach miast, toyoty i mercedesy coraz powszechniej wypierają maluchy i polonezy, a statystyki ONZ podają, iż 100 proc. wypłacanych Polakom poborów wraca do państwa 29 każdego miesiąca. Z czego więc żyje 37-milionowy naród przez jeden lub dwa dni? Premier szacuje swe zarobki na czterysta tysięcy złotych, a fiat 126 p kosztuje na giełdzie pięć milionów, przeciętna płaca kształtuje się w granicach piętnastu dolarów miesięcznie, a znam już przypadki korepetycji jedynie „za zielone".

To wszystko znamy, wie o tym każde niemal dziecko, a przecież „ta kobyła dalej ciągnie". Jak długo? Ile jeszcze odmian Polski będziemy chcieli wybudować? Który etap reformy rozpoczniemy od jutra?

wówczas do niego: „Czyż to nie śmieszne, takie niedemokratyczne trzymanie się tradycji?" „Nie — odparł kolega — gdyby przyjechał pan z kraju, gdzie każde stowarzyszenie, klubik, grupa ludzi chcąca przechować historię, obwiniana była o spisek, o chęć obalenia państwa, o narodową zdradę, też uznałby pan tę ceremonię za piękną".

Gdzie są dziś owe cukierenki, w których para starych ludzi mogła pochylić się we wspomnieniu nad filiżanką herbaty? Gdzie owe restauracyjki, do których można było wyskoczyć z żoną na kolację, bez obawy, że zaraz jakiś żul obali stolik i chuchając gorzałą zapragnie porwać naszą partnerkę „w taniec"? Gdzie ciche zakątki w parkach, do których nie dociera pijany bełkot i zwierzęcy wrzask?

Od wielu lat starałem się „nie dać", próbowałem samoobrony, uciekając w prywatny, uparty świat spokoju. Unikałem komunikacji miejskiej i nie jadałem mięsa, jeśli kolejka była dłuższa niż pięć osób, darowywałem sobie żółty ser na rzecz, choćby, twarogu, z czerstwego sobotniego chleba wypiekałem grzanki; wybrałem się na kontrakt nie po to, by wybudować chałupę, lecz by utrzymać się w świecie jakości. Fundusze zdobywane „na gorąco" szybko jednak topniały, umniej-

Ostatnio szarpała mnie za rękaw stara wieśniaczka, zachęcając natarczywym szeptem, bym kupił sześć kostek masła. Kiedy odparłem, że mam w domu jedną, postukała się w czoło. Za parę dni masła nie było. Naprawiając telewizor, musiałem wyłożyć czternaście tysięcy (dwadzieścia minut pracy i wymiana trzech części), by zakład mógł potem zastrajkować o wyższe płace (telewizor zepsuł się następnego dnia). W kawiarni w Rykach omal nie dostałem w głowę butelką, gdyż w smrodzie taniego tytoniu i alkoholowych wyziewów żule rozpoczęły dintojrę (kawiarnia kat. I). Hordy podchmielonych wyrostków zatrzymały mnie późnym wieczorem w mojej dzielnicy, a ratunek nadszedł od prostytutki nalegającej, by puścić „frajera".

Gdy zastanawiam się jeszcze nad obroną, jedyną nadzieję widzę w sformowaniu Stowarzyszenia Dawnych Wartości. Stwórzmy ligę palantów i nieudaczników, by w przytulnym wnętrzu jakiegoś lokalu, nad talerzykiem „sałatki szwedzkiej" z Pudliszek, zadumać się nad życiem. Tej sałatki zapewne jeszcze długo nie wykupią. Chociaż kto wie?

Starzy ludzie mówią, że będzie wojna...

Raport

WŚCIEKLIZNA

„JEST to rodzaj przypadku losowego — mówi mi Andrzej Radecki, dyrektor Wydziału Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa Urzędu Wojewódzkiego w Zamościu — zło konieczne, które wystąpiło. Znam o wiele poważniejsze wypadki z lat minionych. Tego rodzaju incydentom nie da się zapobiec. Aby wyeliminować całkowicie ewentualność pojawienia się wścieklizny, trzeba by chyba ogrodzić lasy. To, co występuje u nas, w żadnym razie nie da się porównać do sytuacji w lasach włodawskich z ubiegłego roku" (180 ognisk chorobowych. Przyp. W. H.).

Na ekranie pokazano fragment zagajnika i pień szerokiej brzozy, na której sołtys wieszał ogłoszenie. Potem mignęły jeszcze w zaroślach kontury jakiegoś padłego zwierza i filmik się zakończył. Tak było w „Tele-ekspresie"; w „Panoramie Lubelskiej" sekwencja była nieco dłuższa. Notatki w „Tygodniku Zamojskim" i „Sztandarze Ludu" także zrobiły swoje. „Roztocze ogarnięte wścieklizną!" — głosiła coraz szerzej wieść gminna, teraz już ogólnopolska. „Należy omijać ten region. Ryzyko jest zbyt wielkie".

Mijamy na szosie rozneglizowane postacie. Wędrują tu i tam jak zwykle. Ocierają pot z czoła, bo parno. Na poboczu, w cieniu leśnych drzew parkują samochody. Właściciele szukają być może w gęstwinie pierwszych grzybów. Wycieczki kolonijne rozciągają się długą kolumną. Na Roztoczu objawów paniki brak. Urlopowy rejwach panuje tu jak zwykle. Brak również jakichkolwiek tablic ostrzegawczych. Lekceważenie czy rzeczywisty brak zagrożenia?

„Wścieklizna jako problem społeczny w Zamojskiem nie istnieje — mówi wojewódzki lekarz weterynarii dr Sławomir Grodzki. — Jest po prostu jedną z chorób. W istocie nasz region legitymuje się najniższym wskaźnikiem zachorowań w kraju. I tak na przykład w czerwcu br. stwierdzono 86 ognisk w kraju, w tym na Zamojszczyźnie — pięć".

Bardziej szczegółowych danych dostarcza dr Izabella Swoboda. Czerwiec — pięć ognisk, lipiec — trzy, sierpień, jak dotąd — jedno. Nie wszystkie przypadki dotyczą zwierząt dzikich. Wścieklizna wystąpiła także u kotów i psów. Padają nazwy miejscowości: Brzeziny, Zwierzyniec, Tereszpol — Kukiełki.

Za przyczynę rozgłoszenia sensacyjnych pogłosek uważa się na ogół fakt naturalnej tendencji człowieka do demonizowania niecodziennych zjawisk. Na przykład w Tereszpolu przebywająca na urlopie lubelska dziennikarka wybrała się na poszukiwanie jagód. Kiedy następnego dnia dowiedziała się, że niedawno stwierdzono w tym lesie przypadek wścieklizny, wpadła w panikę. Zaalarmowała kolegów. Mass-media podchwyciły temat.

„Szczególna psychoza panowała w okresie zbioru jagód — potwierdza Franciszek Cieplak, zastępca nadleśniczego z nadleśnictwa Zwierzyniec. — Ludzie nie byli pewni, czy choroba nie przenosi się na leśne owoce. Dzwonią do nas także liczni wczasowicze i turyści. Nie przeceniam problemu, ale również go nie lekceważę. Obecnie warunki w lesie są szczególne i mogą sprzyjać powstawaniu ognisk zapalnych. Nader łagodna zima pozostawiła przy życiu zwierzęta słabe, mało odporne, obserwujemy także niepokojący wzrost przypadków pozostawiania w lesie psów domowych. Właściciele po prostu je porzucają. Część zwierzyny, m. in. jenoty przechodzą do nas z radzieckiego Polesia, gdzie właśnie trwa akcja osuszania błot. Uczulamy więc ludność, władze gminne i turystów, by zachowywali ostrożność. O żadnej wszakże epidemii nie może być mowy".

Podobną opinię usłyszę od nadleśniczego nadleśnictwa Józefów, Jerzego Jamroza.

Uzbrojeni w dane szczegółowe, wyruszamy w teren. W Tereszpolu-Kukiełkach rozmawiamy z nauczycielem miejscowej szkoły, Marianem Korgulem. Opowiada stwierdzony tu niedawno przypadek wścieklizny u kota. Kontakt z chorym zwierzęciem miała duża grupa dzieci i dorosłych. Mieszkańcy są już po pierwszej serii szczepień. Mieli szczęście. Do kraju dotarła partia bezbolesnych francuskich zastrzyków. Koszt jednej ampułki — sto dwadzieścia dolarów.

W Brzezinach rozmawiamy z sołtysem uwiecznionym w telewizji. Prezentuje on pogląd typowy dla okolicznej ludności. „Cóż robić? — mówi. — Prac polowych i zajęć gospodarskich nie da się zatrzymać. Wszędzie wywiesiłem ogłoszenia. Trzeba po prostu uważać".

Dyrektora Radeckiego z UW i sołtysa Franciszka Droździela z Brzezin jednako denerwuje fakt ludzkiej bezmyślności. Napisy ostrzegawcze ktoś systematycznie usuwa. W czasie jazdy po Roztoczu napotkamy tylko jedną tablicę ostrzegawczą. Będzie to na odcinku trasy z Brzezin do Józefowa.

Wysłucham jeszcze ludzkich opowieści o tym, jak polowano na wściekłego psa w Zwierzyńcu, jak jeden z gospodarzy zaniósł na rękach dwa chore lisy do miejscowej lecznicy, jak jedna z gospodyń po powrocie do domu zastała złagodniałego jenota, jak wściekły pies pogryzł gospodarską krowę. Takie zwykłe ludzkie gadanie. Może nawet obliczone trochę na ubarwienie surowej, monotonnej egzystencji.

W Zamojskiem nie ma problemu wścieklizny — to fakt, szczególna ostrożność jest jednak zawsze nakazem rozsądku.

W. H.

ZABIŁEM Z LITOŚCI...

Henryk Makarski

29 PAŹDZIERNIKA 1982 roku rano do Komisariatu MO w Międzyrzecu Podlaskim zgłosiła się Anna K. Zameldowała o zaginięciu 20-letniej córki Aliny, salowej miejscowego szpitala, wysokiej blondynki, ubranej w zielony płaszcz i zielony beret, żółty golf i sukienkę w kwiaty. 24 października córka wyjechała do Białej Podlaskiej w odwiedziny do narzeczonego Waldemara G., odbywającego w miejscowej jednostce służbę wojskową. Była z nim w piątym miesiącu ciąży i w grudniu ponoć mieli się pobrać. Ostatnio często miewała stany depresyjne i lękowe, była nawet załamana psychicznie. Wcześniej leczyła się w szpitalu dla nerwowo i psychicznie chorych w Łukowie...

Wszczęto sprawę poszukiwawczą, jako przypuszczalny powód zaginięcia podając rozstrój nerwowy. Babka i dziadek podejrzewali, że Alina K. mogła popełnić samobójstwo, a matka przypuszczała, że może przebywać u kochanki jej męża w Warszawie lub u koleżanki w Krakowie. Rozesłano wiadomości do wszystkich znajomych, bliższej i dalszej rodziny. Sprawdzono we wszystkich pogotowiach opiekuńczych i domach opieki nad matką i dzieckiem oraz szpitalach psychiatrycznych. Narzeczony potwierdził, że go odwiedziła, ale około godziny 19 opuściła koszary. Nie kłócili się, rozstali w zgodzie. Nie odprowadził jej, bo miał akurat służbę w kompanii.

W styczniu 1983 roku w ówczesnej KW MO w Białej Podlaskiej interweniuje rodzina zaginionej. Oburza się na bezczynność milicji. To straszne — rozpaczali jej bliscy — zginęła młoda dziewczyna, chora, w poważnym stanie, ubrana w letni płaszcz, bez pieniędzy, a jest już koniec stycznia! Dlaczego nie włączono do tej sprawy społeczeństwa, prasy, telewizji? Stale nadaje się jakieś komunikaty o zaginięciu blaszanych pudełek na czterech kółkach, a tu człowiek zginął i wszyscy milczą!

Po tej interwencji w sprawie jakby coś drgnęło. Inspektor wydziału kryminalnego KW MO dokonał analizy materiałów i stwierdził, że dochodzenie Komisariatu MO w Międzyrzecu Podlaskim toczy się bardzo opieszale. Prowadzący sprawę ograniczał się do wysyłania telefonogramów i zbierania formalnych dokumentów. Dopiero w lutym 1983 roku podjęto zasadnicze czynności.

Przesłuchany ponownie narzeczony Aliny K. wyznał wiele interesujących szczegółów:

— Do piątego roku życia nazywałem się inaczej, nosiłem nazwisko B. Kiedy miałem 5 lat, na moich — jak twierdzi rodzina — oczach zazdrosny ojciec zabił siekierą matkę, zwłoki zakopał w piwnicy, a sam się powiesił. Ja oraz moich czterech starszych braci zostaliśmy sierotami. Tułaliśmy się po domach dziecka, aż wzięła mnie na wychowanie rodzina G., dała dom i swoje nazwisko. Byli bardzo dobrzy dla mnie, skończyłem szkołę zawodową w zawodzie tokarza i poszedłem do pracy. Narzeczoną Alinę K. znaczy, poznałem przypadkowo na dworcu PKP w Białej Podlaskiej, kiedy jechałem do domu na przepustkę, razem z mamą, no i spodobała mnie się...

Waldemar G. zaprosił Alinę K. do domu przybranych rodziców i matka zezwoliła jej na to. Nie miała nic przeciwko temu, by córka sama pojechała z poznanym przed chwilą chłopakiem. Zwiedzili Kazimierz Dolny, w okolicach którego zamieszkiwał, a potem przenocowała w jego łóżku... Waldemar G. twierdzi, że jeszcze wówczas do zbliżenia nie doszło. Potem odwiedzał ją co 2—3 tygodnie w Międzyrzecu. Nie wiadomo, co sobie wtedy myślał, jakie plany układał. Faktem jest, że jego zachowanie wskazywało na coraz większą zażyłość między nimi. Alina K. mogła więc w pełni czuć się jego narzeczoną i nie kryła się z tym wcale.

— Pojechaliśmy do mego brata na wieś. I wtedy ona zaczęła się zachowywać tak jakoś dziecinnie, bo z 12-letnim synem brata wrzucali sobie do zupy śmiecie i kwiaty. Brat doniósł o tym moim rodzicom i od tamtej pory nie odwiedzałem jej. Dopiero w lipcu przyjechała jej matka. Że Alina jest w ciąży. Rodzice moi krzywili się, nie w smak im taka synowa, ale cóż, uczciwi są. No więc ojciec namawiał, że skoro już tak się stało, to wesele trzeba szykować i to szybko. Ale później rozmyślili się i pokłócili z jej matką, koniec sielanki. Wtedy w nocy znów doszło do zbliżenia, chyba ostatni już raz.

Dziewczyna była widziana przez wartownika tuż po godzinie osiemnastej. Wyszła z koszar i szła w kierunku dworca PKP, oglądając się za siebie, jakby oczekiwała, że ktoś ma do niej dołączyć...

Milicja zażądała opinii o Waldemarze G. z jednostki wojskowej i miejsca stałego zamieszkania. Wynikało z tych opinii, że jest człowiekiem konfliktowym, skrytym, raczej nielubianym przez otoczenie. Pod koniec pierwszego roku służby schował się w lesie, pozorując samowolne oddalenie, a z ukrycia obserwował reakcje przełożonych i kolegów...

Z historii choroby Aliny K. wyczytano, że jej zasadniczą dolegliwością były epizody deliryjne egzogenne: lęki, niedorzeczne wypowiedzi itp. Po miesiącu pobytu została wypisana do domu w dobrym stanie psychicznym...

POD koniec kwietnia 1983 roku inspektorzy KW MO znów sprawdzili akta zaginionej Aliny K. Stwierdzono, że nie wszystkie czynności zostały wykonane, zwłaszcza te operacyjne. Dopiero teraz włączono do sprawy delegaturę WSW w Białej Podlaskiej. Akta pęczniały od nowych szczegółów, nie zawsze możliwych do sprawdzenia.

Koleżanki z pracy twierdziły, jakoby krytycznego dnia Alina zwolniła się z pracy wcześniej w związku z wyjazdem do narzeczonego, któremu kupiła „na gościniec" pół litra wódki, swojską kiełbasę i papierosy. Matka temu zaprzecza. Mówi, że córka miała przy sobie tylko dokumenty i 50 zł na bilet. Ale komu wierzyć, skoro Alina była w szpitalu psychiatrycznym tylko raz, natomiast jej matkę wielokrotnie leczono w tego typu placówkach?...

Z kolei magazynier ZOZ upierał się przy tym, jakoby w kwietniu 1983 roku widział Alinę na skwerku w Międzyrzecu, z wózkiem dziecięcym. Dziadkowie sugerowali, że mogła być przewieziona „legnicą" do NRD w niecnym celu.

5 maja dokonano penetracji terenu przyległego do jednostki wojskowej. Mimo użycia psa przyuczonego do wykrywania zwłok ludzkich oraz trzech psów tropiących, niczego nie znaleziono. Mijały bezowocne lata...

WE wrześniu 1985 roku wznowiono śledztwo. Milicjanci zaczęli coraz dokładniej przyglądać się zachowaniu Waldemara G., który wrócił z wojska i zamiast cieszyć się z odzyskania cywilnej wolności oraz szczęśliwego małżeństwa z Hanną Ł., którego radosnym owocem była 2-letnia Beatka, stał się jeszcze bardziej agresywny, ciągle chodził zamyślony i ponury.

16 października 1985 roku nastąpił moment zwrotny w tej sprawie: Waldemar G. przyznał się do zamordowania Aliny K. i napisał własnoręcznie oświadczenie, w jaki sposób tego dokonał.

Waldemar G. mówił teraz dużo i chętnie. Wspomina, że kiedy poznał Alinę K., znał już wcześniej Hannę, swoją obecną żonę. Zdecydował się jednak na chodzenie z Aliną, bo bardziej mu się podobała. Ale Alinę obrzydził jemu i jego rodzicom brat jego rodzony, któremu bardziej zależało na związku Waldka z Hanną, ponieważ Hanna była córką konkubiny brata...

— Jakiś chłopak na przystanku PKS w Międzyrzecu uświadomił mnie, że Alina nie choruje na krzyż, ale na głowę! Alina zaprzeczyła: „Załatwiłam to sobie w szpitalu, żeby mieć lżejszą robotę!" W sierpniu chciałem, żeby usunęła dziecko, ale nie chciała tego zrobić. Miałem więc zamiar z nią zerwać, bo już pojmowałem, że jest chora psychicznie. Obawiałem się, że dziecko może się urodzić niedorozwinięte psychicznie, a nawet kalekie. Nie widziałem innego wyjścia, jak tylko zamordować Alinę. Zabić z litości, żeby się nie męczyła ona, głupie dziecko i wszyscy razem wzięci wokół niej...

Od sierpnia planowałem kilka wersji pozbycia się Aliny. Początkowo chciałem pojechać z nią do swojego brata do Włodawy. Miałem zamiar utopić ją w Bugu, gdyż byłem przekonany, że zwłoki wypłyną po stronie radzieckiej... Planowałem w ten sposób, że bratu nic nie powiem o swoim przyjeździe, zaś Alinę poinformuję, iż zaprasza nas brat. Znałem dobrze teren, gdzie można dojść do rzeki od strony ogródków działkowych. Ale w końcu zrezygnowałem z tego, bo pomyślałem, że zwłoki mogą wypłynąć w innym miejscu i sprawa wyjdzie na jaw.

Planowałem później, by Alinę wrzucić do studni w pobliżu jednostki wojskowej, ale nie znalazłem odpowiedniego miejsca... Zastanawiałem się, co zrobić, aby pozbyć się Aliny jeszcze przed urodzeniem dziecka. Czułem, że nie mam dużo czasu. No i obmyśliłem, że spotkamy się w koszarach i dokonam tego, czego chcę...

Pojechałem do Międzyrzeca, zaprosiłem, po kilku dniach przyjechała. Przez kilka godzin oglądaliśmy program w telewizji, spokojniutko. Żeby ją uspokoić, mówiłem, że na razie zamieszka z dzieckiem w Międzyrzecu, a później może znajdę jakieś mieszkanie i zamieszkamy razem. Około godziny dziewiętnastej odprowadziłem ją do bramy obok biura przepustek. Kazałem jej wówczas poczekać obok dziury w ogrodzeniu. Niebawem dołączyłem do niej. Zaproponowałem jej wtedy, żebyśmy poszli obejrzeć samochód gaz, który udało mi się korzystnie kupić podczas przetargu w jednostce. I że nawet mogę ją tym samochodem odwieźć do Międzyrzeca. Uwierzyła, wyraziła zgodę.

„Każą mi helikopter kupować, by z niego pole uprawiać"

Izabella Wlazłowska

GDYBY gmina działała tak jak powinna, do konfliktu by nie doszło — głosi swe żale Jan F. z Kalinówki. Najwięcej pretensji ma do geodety, który w Urzędzie Gminy w Głusku pracował do ubiegłego roku i tak sprawy zarnotał, że teraz to już ani się w tym wszystkim rozeznać.

— Kiedy sołtyska nie chciała wysłać zaświadczenia niezgodnego z prawdą — mówi Jan F. — to geodeta z upoważnienia naczelnika gminy wydał zaświadczenie, w którym stwierdził, że siostra moja jest bardzo dobrym rolnikiem itd., a to przecież była nieprawda, bo siostra mieszkała w Lublinie, a gospodarkę po matce przejęła dopiero w 1985 r., kiedy to matka zmarła.

— W Urzędzie Gminy poginęły protokoły i wyrysy pól akurat moich działek i działek rodziców — kontynuuje Jan F. — a te, które z późniejszą datą znajdują się w urzędzie, wykonane są już na korzyść mojej siostry. O, proszę, tu jest oświadczenie rolniczki, którą „wrobiono": „Oświadczam, że nigdy nie podpisywałam żadnego protokołu uwłaszczeniowego na nazwisko Leokadii K." Jak więc miałem udowadniać swoje racje? Na podstawie dokumentów niezgodnych z faktycznym stanem rzeczy siostra szybko dokonała w sądzie rozgraniczenia. Następnie ogrodziła płotem działkę i zupełnie pozbawiła mnie dojazdu do mojego pola. Więc niech mi pani powie, jak ja mam to pole uprawiać? W służbie rolnej w gminie ramionami tylko wzruszają i każą mi helikopter kupować, by z niego pole uprawiać.

Zabudowania Jana F. i jego siostry stoją kilkanaście metrów od głównej drogi prowadzącej przez wieś. Linia prosta, rozgraniczająca obydwie nieruchomości, przy budynku mieszkalnym Jana F. załamuje się na szerokości kilku metrów w działkę Jana F., a za zabudowaniami gospodarczymi znowu wraca do pierwotnej linii prostej i rozgranicza pola uprawne na długości ponad 400 metrów.

Stan taki usankcjonowany został prawomocnym wyrokiem sądu, w związku z czym Leokadia K. uskok ten ogrodziła drewnianym płotem, który uniemożliwił Janowi F. wjazd z szosy na podwórko i pole. Pomiędzy budynkiem mieszkalnym a płotem pozostało jedynie wąziutkie przejście, którym tylko człowiek może przejść.

W pismach kierowanych do różnych urzędów Jan F. podważa już nawet zgodność wykonania wyroku sądowego, twierdząc, że w wyrysie geodezyjnym, znajdującym się w gminie, uskok ten wyrysowany został do szerokości 6,40 m, sąd zatwierdził rozgraniczenie w uskoku o szerokości 6,90 m, a faktycznie geodeta odciął z jego działki 7,15 m.

Cóż, geodetą nie jestem, a i podręcznej miary ze sobą nie noszę. Sądzę jednak, że sprawdzenie tego nie powinno przysporzyć fachowcom jakichkolwiek kłopotów, bo „prawda" musi być przecież jedna.

Oświadczenie, które otrzymałam, podpisało jedenastu mieszkańców Kalinówki: „Jan F. jest użytkownikiem i właścicielem gospodarstwa o pow. 0,81 ha od 1962 roku. Do chwili śmierci swoich rodziców był współużytkownikiem siedliska i zabudowań gospodarczych. Miał zapewniony przejazd na pole... Wyrokiem Sądu Rejonowego w Lublinie, na skutek fałszywego przedstawienia okoliczności sprawy przez siostrę i jej konkubina, Jan F. został pozbawiony możliwości użytkowania budynków gospodarczych, dojazdu na podwórko i pole, które ciągnie się wąskim pasem na długości 450 m... Ob. Leokadia K. nigdy nie była użytkownikiem pola ani zabudowań. W 1985 r. zmarła matka i wtedy Leokadia K. stała się przymusowym użytkownikiem pola. Zabudowania stoją puste, bo Obywatelka K. mieszka na stałe i pracuje w Lublinie".

Konflikt rodzinny, który rozgorzał po śmierci ojca, a więc w 1982 roku, z roku na rok potęgował się coraz bardziej. Przyczyn jego nie sposób już w tej chwili dojść. Gdy zabrakło ojca, stara matka nie była w stanie zapanować nad emocjami rodzeństwa. Sama wciągnięta w spór, komplikowała go jeszcze bardziej. Wyzwiska, rękoczyny, interwencje milicji, prokuratora. Najukochańszy kiedyś syn, teraz stał się wrogiem numer jeden. W końcu wyrok sądu przeważył korzystną szalę na stronę siostry. Brat napisał skargę do Spółdzielni Mieszkaniowej w Lublinie. I do prokuratora także.

BEZ

27 lipca 1987 roku Wojewódzki Związek Spółdzielni Mieszkaniowych w Lublinie skierował do Prokuratora Wojewódzkiego w Lublinie pismo, w którym czytamy: „W wyniku postępowania wyjaśniającego stwierdzono, że małżonkowie Leokadia i Ryszard K. przydział mieszkania otrzymali 20.04. 1968 roku. W związku z rozwodem orzeczonym w 1974 r. spółdzielcze lokatorskie prawo do lokalu przypadło Leokadii K., która decyzją zarządu RSM »Motor« z 19.10.1982 r. została przyjęta w poczet członków i otrzymała przydział tego mieszkania... Spółdzielnia była w posiadaniu zaświad-

Weszliśmy bramą gospodarczą na teren jednostki. Szliśmy sobie rezerwowym pasem startowym. Trzymałem cały czas swoją lewą rękę opartą o kark Aliny. Kiedy nagle objąłem ją, ona powiedziała: „O, teraz to mógłbyś mnie nawet udusić!" „Coś ty, nie wygłupiaj się" — odparłem. Po tych słowach przeszliśmy jeszcze kawałek i w pewnym momencie — nie wiem dlaczego — schwyciłem ją za szyję obydwoma rękoma i trzymałem zaciśnięte przez okres 2—3 minut, aż stała się bezwładna. To było takie proste...

Wciągnąłem ją do lasu, jakieś 40 metrów dalej, położyłem na ziemi. Już nie żyła. Przestraszyłem się, pozostawiłem ciało i pobiegłem na kompanię, gdzie dalej pełniłem sobie służbę podoficera. Nikt na szczęście nie zauważył mojego zniknięcia... Nazajutrz wziąłem przepustkę i na prośbę matki Aliny pojechałem do Międzyrzeca. Pomagałem rodzinie w poszukiwaniach mojej narzeczonej, bardzo zaniepokojony jej zaginięciem... To po to oczywiście, aby odsunąć od siebie podejrzenia. Na noc powróciłem do jednostki. Rano, gdzieś tak między 10. a 11., poszedłem TAM....

Po drodze z kabiny jednego z samochodów — cystern zabrałem łopatę, typowy szpadel prostokątny o stylisku drewnianym. Ciało leżało w tej samej pozycji, tzn. na plecach, wyprostowane, z głową w kierunku pasa startowego, ręce ułożone wzdłuż ciała, płaszcz zapięty, brzuch wypięty, beret obok na ziemi. Zwłoki przekręciłem na bok, odsunąłem trochę i zacząłem kopać dół w miejscu, w którym poprzednio leżały. Żeby spoczęła tu, gdzie przestała żyć... Z torebki wyjąłem jej dowód osobisty, z palca ściągnąłem pierścionek srebrny, z ręki zegarek, a dół zasypałem. Wierzch pokryłem darnią, dobrze zamaskowałem. Łopatę wyrzuciłem na skraj lasu.

Więcej już w to miejsce nie wracałem. Dowód osobisty spaliłem w piecu c.o. w mieszkaniu rodziców, pierścionek i zegarek trzymałem przy sobie w koszarach, a po wyjściu z wojska ofiarowałem w prezencie żonie mojej Hannie, żeby było taniej...

Z nikim na ten temat nie rozmawiałem. Zdarzenie to gnębiło mnie, jednak biegu wydarzeń nie można już odwrócić. Może i żałuję tego, co się stało. Wolałbym już ostatecznie się z nią ożenić, ale stało się inaczej i już... Trudno jest odpowiedzieć na pytanie, czy żałuję swojego postępowania. Czasami żałuję, czasami nie... Uważam, że tak musiało się stać. Miałem trudne dzieciństwo, rodzice zginęli tragicznie, dowiedziałem się o tym dopiero, gdy miałem 18 lat. A o tym, że ojciec zarąbał matkę i sam się powiesił, powiedziano mi dopiero w czasie odbywania służby wojskowej. Tak, z opowieści wynika, że stało się to na moich oczach....

WALDEMAR G. wrócił z wojska w kwietniu 1983 roku, a we wrześniu zawarł związek małżeński z Hanną. W styczniu 1984 przyszła na świat Beatka. Chciał sobie ułożyć życie na nowo, podjął pracę w jednym z puławskich przedsiębiorstw, był nawet kandydatem PZPR... W małżeństwie jak to w małżeństwie, bez drobnych sprzeczek się nie obyło. Aż do maja 1985 roku, kiedy to naubliżał żonie solidnie, z błahego powodu (nie chciała z pijanym mężem iść na imieniny kolegi), a ona nazajutrz spakowała manatki i odeszła do swojej matki. Później podała go do sądu o alimenty. Zwróciła mu prezent: srebrny pierścionek i zegarek... Wyrzucił te zdarte z trupa precjoza do Wisły.

18 października wszczęto poszukiwania zwłok, przy udziale podejrzanego, prokuratora wojewódzkiego, pracowników wydziału kryminalnego i dochodzeniowo-śledczego WUSW oraz funkcjonariuszy ZOMO. Z zachowania Waldemara G. wynikało, że nie pamięta miejsca, w którym zakopał zwłoki, albo celowo wprowadza w błąd, chce odwlec ów koszmarny moment... Funkcjonariusze przystąpili do regularnej penetracji lasu, metr po metrze. Miejsce ukrycia zwłok Aliny K. odnalazł kpt. Jerzy Janiszek.

Prokurator wojewódzki zastosował wobec Waldemara G. tymczasowe aresztowanie.

Sąd Wojewódzki w Lublinie wyrokiem z 2 grudnia 1986 roku skazał Waldemara G. na karę 25 lat pozbawienia wolności oraz orzekł pozbawienie praw publicznych na okres lat 10.

Waldemar G. dopisał komentarz do tej wstrząsającej sprawy. Z aresztu wysłał do najbliższych serdeczny i troskliwy list:

„Kochana Haniu! Przeczytaj dokładnie, zanim wyrzucisz. Ty i Beatka musicie mieć mieszkanie w hotelu, które wam obiecałem przecież, bo jest opłacone przecież przeze mnie do 1 października br. Więc zrób, co radzę. [...] Może Bóg da, że wrócę do was, choć pewnie ułożysz sobie życie inaczej, ale Beatki strzeż, strzeż przed złem, nie pozwól, by nauczyła się czegoś niedobrego. Kocham was obydwie, myślę o was i jak nie zwariuję, to będzie dobrze. Przyrzeknij, że będziesz dobrą matką, jesteś zdana na siebie samą, opłacaj raty w terminie. [...] W regale te rajstopy, miałem ci dać w sobotę, ale nie zdążyłem, myślałem, że przyjedziesz. O tak! Gdybyś przyjechała, sprawy potoczyłyby się z pewnością inaczej. Załamałem się chwilowo i straciłem i was i wszystko, co na tym świecie można osiągnąć. [...] Przebacz mi to i pamiętaj o Beatce. Nie załamuj się od razu, wystarczy, że ja mam, czego chciałem, i teraz zostały mi tylko twoje i Beatki wspomnienia i marzenia. [...]"

PS. Imiona żony i córki Waldemara G. zostały zmienione.

Listy

„Bezrozumna siła zdemoralizowanych mas"

Mimo pełnego szacunku dla pluralizmu słowa, trudno mi zrozumieć postawę wyrażoną w liście do redakcji („Relacje" nr 27), usiłującym być polemiką w stosunku do artykułu p. Adama Kalbarczyka pt. „Bezrozumna siła zdemoralizowanych mas", pomieszczonego w „Relacjach" kilka tygodni wcześniej. Moim zdaniem, polemika prasowa właściwie spełnia swą rolę, tzn. jest przeciwwagą dla pozycji, z którą chce polemizować, tylko wówczas, gdy napisano ją rzeczowo, wyczerpująco i w duchu szacunku dla poglądów interlokutora. Stosowne wydaje się tu przypomnienie starego francuskiego przysłowia, mianowicie „noblesse oblige". Szlachectwo zobowiązuje. Zobowiązuje choćby do tego, aby polemika w minimalnym przynajmniej stopniu dorównywała ogólnym poziomem przedmiotowi sporu — by przedstawione przez autora artykułu argumenty znalazły odbicie w kontrargumentach polemizującego.

Tymczasem list pana (pani) MAK, oprócz dwóch incydentalnych przykładów, mających dowodzić rzekomej zbrodniczości ustawy zakazującej przerywania ciąży, zawiera głupawe, tendencyjne uwagi oraz — na zakończenie — odkrywcze stwierdzenie, iż „ostateczną decyzję o usunięciu ciąży powinna i może podjąć tylko zainteresowana kobieta i nikt więcej...". A tzw. najbliższa rodzina? Przyszły ojciec dziecka? Nic to dla pani (pana) nie znaczy? A głos lekarza? Wszak usunięcie ciąży może być dla zdrowia matki tak samo szkodliwe jak nieusunięcie. W tekście nie ma nawet jednego zdania zasługującego na zaszczytne miano „szlachetnej szermierki słownej", z tonu wypowiedzi wyziera za to złowrogi jad nienawiści i nietolerancji wobec kogoś, kto ma czelność mieć inne zdanie niż autor listu. Dziwię się doprawdy, że coś takiego zostało wydrukowane w ramach polemiki.

Żeby było jasne — nie zamierzam bronić racji p. Kalbarczyka, mimo że je podzielam. Sądzę, że sam autor uczyni to najlepiej. Pragnę natomiast zwrócić uwagę na postawę i sposób myślenia osoby, która nie miała nawet dość odwagi, by przedstawić się imieniem i nazwiskiem [...].

Mariusz Gadomski
Lublin

Tajemnice Starego Czechowa

Po ukazaniu się artykułu w „Relacjach" nr 16 nasza drużyna postanowiła poszperać wśród starych mieszkańców Czechowa i dowiedzieć się coś o jego historii. Poniżej przedstawiamy skromne wiadomości, które przygotowały zastępy: Rosomaki, Sowy i Wiewiórczaki.

W trakcie szperania po starych zakątkach Czechowa znaleźliśmy w rowie przy drodze kilka rozbitych krzyży i dużo gruzu. Myśleliśmy, że to stary cmentarz, ale inne zastępy dowiedziały się, że te krzyże zostały przywiezione z gruzem z cmentarza przy ul. Unickiej. Innych szczegółów nie udało nam się odkryć. Miejmy nadzieję, że kilka tych ciekawostek pomoże panu redaktorowi odszyfrować tajemnice „starego Czechowa".

Są dwie wersje historii krzyża przy ul. Północnej, postawionego w 1914 r. Część mieszkańców twierdzi, że krzyż ten jest poświęcony trzem legionistom rozstrzelanym w tym miejscu przez wojska austriackie w roku 1914 (niektórzy twierdzą, że w 1916 r.). Inni uważają, że ten krzyż postawiono na cześć ofiar plagi cholery w roku 1912. Pobliski lasek stał się cmentarzyskiem dla ofiar tej choroby.

Krzyż przy ul. Partyzantów został postawiony w 1946 roku na skrzyżowaniu ulic Solarza i Partyzantów, ku pamięci zamordowanych mieszkańców osiedla Czechów Górny w obozie w Oświęcimiu w latach 1941—1943. Okoliczności powstania tego krzyża były bardzo dziwne. Władza nie pozwalała chodzić do kościoła i zabierała święte obrazy. Wiosną 1946 roku grupa ludzi, którzy w nocy postawili krzyż, ukopała w ziemię butelkę. Są dwie wersje historii tej butelki. Jedna brzmi tak, że ludzie w tej butelce zakopali listę ofiar hitlerowskiego terroru, druga wersja jest taka, że w butelce są imiona i nazwiska ludzi, którzy stawiali ten krzyż.

Po paru latach krzyż spróchniał i zwalił się. W 1987 roku został odnowiony. Ludzie, którzy go stawiali po raz drugi, nie mogli znaleźć butelki.

Z harcerskim pozdrowieniem „Czuwaj".

97 LDH
„Włóczykije"

DOJAZDU

czenia Urzędu Miejskiego w Lublinie, stwierdzającego, że Ob. K. nie jest płatnikiem podatku od nieruchomości oraz gruntowego na terenie m. Lublina.

W styczniu 1983 r. Ryszard K. ponownie został zameldowany. Również w styczniu wpłynęła skarga Jana F., w której podniósł on, że Leokadia K. jest właścicielką gospodarstwa rolnego wraz z domem mieszkalnym. Leokadia K. wystąpiła do zarządu spółdzielni o wykreślenie jej z rejestru członków i dokonanie przydziału lokalu na rzecz byłego męża. W dn. 29.09. 83 r. zarząd RSM „Motor" dokonał przydziału mieszkania na rzecz Ryszarda K.

Centralny Związek Spółdzielni Budownictwa Mieszkaniowego po zbadaniu sprawy uznał za bezpodstawne dokonanie przydziału lokalu Ryszardowi K. W piśmie z 17.04. 1986 r. skierowanym do Jana F. Centralny Związek potwierdził zarzuty skarżącego co do nieprawidłowości przydziału. Poinformował również o braku uprawnień Centralnego Związku do unieważnienia dokonanego przydziału, wyjaśniając, że działania w tym kierunku mógłby podjąć prokurator na podstawie art. 7 kpc."

Postanowieniem z 12 września 1988 roku Prokurator Rejonowy dla miasta Lublina odmówił wszczęcia postępowania karnego w tej sprawie. W tym też miesiącu do Kalinówki zjechała telewizja. Reportaż obejrzała cała Polska. Oto fragmenty zapisu magnetofonowego tej audycji, w której przed kamerami wypowiadali się mieszkańcy Kalinówki, również naczelnik gminy w Głusku:

— Jeśli siostra miała to na własność zapisane, to dlaczego dostała mieszkanie w Lublinie, a tu zabudowania stoją puste? Dlaczego władze tym się w ogóle nie interesują, co się tu w tych naszych władzach dzieje?

Dziennikarka: — Czy państwo potwierdzacie fakt, że pani K. tu nie mieszka?

— Mieszka od dawna w Lublinie.

— Odkąd tylko pamiętam.

Dziennikarka: — A ziemię uprawia?

— Po śmierci matki. A do śmierci matki ja byłem wspólnym użytkownikiem z rodzicami. Pan Jan F. najmował mnie do pracy. Najmował również sąsiada, który może to potwierdzić.

— Po śmierci rodziców stała się władcą i hrabiną, tak można to nazwać.

— Rzeczywiście człowiek ten jest pokrzywdzony, bo nie ma dojazdu. Nie wiem, co było przyczyną całego nieporozumienia. Wiele lat temu, kiedy żyła matka pana F., innego zdania od niej nie słyszałam jak to, że „Janek to moje najlepsze dziecko". I raptem przemienienie się zrobiło. Później Janek najgorszy.

— Jestem najbliższym sąsiadem i widzę, że jest bardzo duża krzywda Jana F. Przez 30 lat tutaj użytkował. Pani K. dopiero po śmierci matki stała się użytkownikiem.

Naczelnik gminy w Głusku: — Rozgraniczenie między gruntami Jana F. i jego siostry zostało dokonane przez sąd. Decyzja sądu nie może być zmieniona przez Urząd Gminy, gdyż jest dla Urzędu obowiązująca... Rozmawiałem z panem F. i wyjaśniłem, że istnieje możliwość ustanowienia drogi koniecznej, ale wyłącznie przez sąd. Faktem jest, że pan F. nie ma drogi dojazdowej do swojego pola, co uniemożliwia mu właściwe uprawianie gruntu. Nasze coroczne przeglądy ujawniają to i jesteśmy zobowiązani do nakładania na niego kar w formie grzywny.

— W 1987 r. ukarano mnie grzywną za niezagospodarowanie gruntów — mówi Jan F. — Odwołałem się do Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, skąd do dnia dzisiejszego nie otrzymałem odpowiedzi. Otrzymałem natomiast od naczelnika gminy tytuł wykonawczy i Urząd Skarbowy w Lublinie zajął mi telewizor.

Tymczasem siostra Jana F. wystosowała pismo do naczelnika gminy: „...ośmielam się wysunąć propozycję, aby Ob. naczelnik przekazał ziemię Jana F. w ręce dobrego gospodarza, który miałby z tego korzyści i państwo również".

Ostatnią nadzieją Jana F. jest Ministerstwo Rolnictwa, do którego skierował prośbę o unieważnienie aktów własności ziemi i wyjaśnienie całej sprawy od początku do końca. Od wielu miesięcy ministerstwo milczy.

Kiedy w Urzędzie Gminy w Głusku powiedziałam, że przyjechałam w sprawie Jana F., najpierw złapano się za głowy, potem dano mi do przeczytania pismo skierowane przez tenże urząd do Komitetu do spraw Radia i Telewizji.

Oto fragment: „Sprawą tą zajmowały się wszystkie urzędy Lublina, łącznie z Komitetem Wojewódzkim PZPR. Były badane wszystkie możliwe rozwiązania, ale każda propozycja spotykała się ze zdecydowaną odmową jednej ze stron. Trwają awantury. Strony nabrały do siebie takiej nienawiści, że trudno mówić o porozumieniu. Gdy obydwie strony trwają w uporze, najbardziej rozsądne rozwiązanie staje się niewykonalne. Jeżeli rodzina nie odszuka swych więzów i nie dojdzie do zgodnego wniosku, że życie obok siebie może mieć inne walory niż kłótnie, nikt z zewnątrz rozwiązania im nie przyniesie. Podwórko nie musi być podzielone płotem, budynki gospodarcze są wystarczające na plony z całego gospodarstwa. Brak tylko dobrej woli i zrozumienia".

PIELGRZYMKA DO ZIEMI ŚWIĘTEJ

Józef Zięba

QUMRAN. Po odkryciu w 1947 roku, w widocznych na zboczach gór grotach, najstarszych rękopisów Biblii rozpoczęto w pobliżu archeologiczne badania, odsłaniając ślady osiedla esseńczyków. Można zwiedzać odkopane fragmenty budowli. Ksiądz Leszek opowiada o dziejach znaleziska i o życiu wspólnoty, która rękopisy te, w obliczu grożącej zagłady, ukryła w grotach. Pasący tu stada kóz beduini, po niemal dwu tysiącach lat odnaleźli je, co stało się największą sensacją naukową nie tylko wśród biblistów. Na ten temat pisano wiele, nie ma więc powodu do spraw tych wracać.

Z Qumran, gdzie straszliwy upał, bez nakrycia głowy nie można się poruszać, jedziemy na Masadę. Jest to miejsce po dawnej fortecy i pałacu Heroda Wielkiego. Masada była ostatnim broniącym się bastionem w czasie wojny żydowskiej, zdobyta przez Flawiusza Sylwę w kwietniu 73 roku, po trzyletnim oblężeniu. Obrońcy w liczbie 960 osób — w tym kobiety i dzieci — woleli odebrać sobie życie, aniżeli poddać się w niewolę Rzymian. Upadek Masady uznawany jest jako koniec niepodległości Żydów. Na szczycie góry, dokąd dojeżdża się kolejką linową, można dzięki wykopaliskom oglądać fragmenty monumentalnych budowli.

W drodze powrotnej zatrzymujemy się nad Morzem Martwym. Kąpiel w tym ciepłym roztworze soli w najgłębszej na kuli ziemskiej, prawie czterystumetrowej depresji to nie lada turystyczna atrakcja. Ze względu na stężenie solanki nie można się tu utopić, ale trzeba uważać, by podczas pływania nie opryskać oczu, bo ogniste pieczenie zmusza natychmiast do wyjścia i dokładnego opłukania słodką wodą pod ustawionym nad brzegiem prysznicem. Pieką też wszystkie, nawet najmniejsze zranienia i otarcia naskórka. Tylko nieliczni mogą wytrwać dłużej i rozkoszować się niezwykłą kąpielą. Obok nas przy brzegu, w wodzie usadowiła się arabska rodzina. Kobiety moczą się, nie zdejmując sukienek. Koran nie pozwala im obnażać swego ciała.

Znad Morza Martwego wypłoszył nas chamsin, gorący wiatr pustyni, unoszący w powietrzu, niby mgłę, tumany żółtego pyłu. Na szczęście nie przyniósł do Jerozolimy spodziewanego upału. Wieczorem chodzimy w swetrach albo wiatrówkach.

Jest piątek. Punktualnie o dziewiętnastej wycie syren ogłasza rozpoczęcie szabatu. Wylot naszej ulicy zastawiony barierkami, by przejeżdżające samochody nie zakłócały świątecznego spokoju. Pobożni Żydzi śpieszą na modlitwę przy Ścianie Płaczu. Idą pojedynczo i całymi grupami — mężczyźni, kobiety, młodzież i dzieci. Omijają najczęściej Bramę Damasceńską i dzielnicę arabską. Kobiety modlą się przed Ścianą Płaczu w części oddzielonej od mężczyzn niezbyt wysoką barierą. Wszyscy głośno oddają cześć Bogu — nie tylko wypowiadanym słowem, śpiewem, ale całym pochylonym ciałem. Każdy odprawia modlitwę własną, powstaje z tego trochę kakofoniczny hałas. Młodzież i dzieci wyrażają uczucia religijne poprzez wspólny śpiew i taniec. Na wydzieloną barierkami przestrzeń modlitwy może wejść każdy. Dla mężczyzn jedynym warunkiem jest nakrycie głowy.

Przed Ścianą Płaczu jest duży plac powstały po wyburzeniu ubogiej dzielnicy arabskiej. Na jego obrzeżu, na wzniesieniu została zbudowana dzielnica żydowska. Nowe domy osadzone harmonijnie w architekturze Starej Jerozolimy, wszystkie budynki obłożone miejscowym białym kamieniem. Dzielnica żydowska wyróżnia się spośród pozostałych widoczną zamożnością.

NASTĘPNEGO dnia rano wyjeżdżamy do Betlejem. Ktoś w autokarze intonuje kolędę: „Przybieżeli do Betlejem pasterze". Radość, bo przed wyjazdem w Lublinie przestrzegano nas, że ze względu na panujące niepokoje możemy tam nie dojechać. Kierowca, Arab, odmawia tylko dowiezienia na Herodium, do dawnej twierdzy Heroda Wielkiego, ale to nas nie martwi, kiedy mamy szczęście stanąć na Polu Pasterzy i podziwiać stąd roztaczające się krajobrazy. Pozostały tu przecież te same pola i te same wzgórza, na które patrzyli, nie mogąc znaleźć miejsca w gospodzie, Maryja i Józef. Ukryli się nie w ubogiej stajence, jak śpiewamy w naszych polskich kolędach, ale w grocie, których tu wiele: Grota Pasterzy, Grota Narodzenia, Grota św. Józefa, św. Hieronima, który tu dokonywał przekładu na łacinę Pisma Świętego. Miejsca te — mimo upływu wieków i przewalających się przez te ziemie kataklizmów — przetrwały, upamiętnione kultem i tradycją.

Do naszych czasów przetrwała też justyniańska Bazylika Narodzenia z VI wieku, zarządzana obecnie przez prawosławnych Greków. Niestety i tu, podobnie jak w Bazylice Zmartwychwstania, przygnębia widok opuszczenia i zaniedbania. Tu też spotykamy niewielu pielgrzymów.

Spieszymy do Groty Narodzenia, gdzie pod ołtarzem prawosławnych znajduje się gwiazda z napisem łacińskim: „Tu narodził się z Maryi Dziewicy Jezus Chrystus". Obok miejsce żłóbka — niewielki ołtarz upamiętniający pokłon Trzech Króli. Przy tym ołtarzu odprawia mszę św. w języku angielskim siwy ksiądz z jednym tylko ministrantem, chyba Arabem. Korzystamy z okazji i uczestniczymy w tej mszy, bo nasza zostanie odprawiona później, w kaplicy św. Józefa. Kilka osób pozostaje jeszcze na prywatnych modlitwach. Zjawia się niewielka, angielskojęzyczna grupa młodzieży. Strudzona dziewczyna natychmiast siada na stopniu ołtarza. Zapewne niewiele wie o tym miejscu. Jej koleżanka, Murzynka, zwraca uwagę. Dziewczyna wstała.

Przed Ścianą Płaczu zawsze jest pod dostatkiem egzemplarzy Tory...
Fot. Erwin Schenkelbach

Młodzież zrobiła kilka zdjęć i wyszła. Pozostał tylko jakiś tata z kilkuletnią córeczką, którą ustawia do pozowanego zdjęcia przed ołtarzem Narodzenia. Dziecko wyraźnie zdezorientowane, zdziwione, znudzone. Dla turystów, spragnionych silnych wrażeń, niezbyt estetycznie urządzona Grota Narodzenia nie jest wielką atrakcją.

Nam, pielgrzymom z Polski, przypominają się tu wszystkie święta Bożego Narodzenia: wigilie, kolędy, jasełka. Na wielu policzkach pojawiają się łzy wzruszenia i szczęścia.

Betlejem dzieli od Jerozolimy zaledwie osiem kilometrów. Na obiad wracamy do naszego Polskiego Domu. Po odpoczynku wyruszamy, by zwiedzić dzielnice Nowej Jerozolimy. Tu wyrosły już, jak w prawdziwej metropolii, wielokondygnacyjne budynki hoteli. Szpecą wprawdzie piękną panoramę Starej Jerozolimy, ale zapewniają swoim gościom światowy standard hotelowej wygody. Przed każdym — wyłożony niebieskimi kafelkami basen.

Sporo jest tu zieleni. Małe i większe skwery zostały ufundowane przez bogatych Żydów z różnych miast Ameryki i Europy. Nazwiska fundatorów wykute są na pamiątkowych kamieniach.

W NIEDZIELĘ Zesłania Ducha Świętego wybieramy się do Wieczernika. Od XVI wieku Wieczernik zamieniony jest na meczet proroka Dawida. W roku 1167 rabin Beniamin Tundel stwierdził autorytatywnie, że tu właśnie ma się znajdować grób. Na dole ustawiony jest wielki sarkofag, przy którym modlą się muzułmanie, chrześcijanie i Żydzi. W górnej, przestronnej sali Wieczernika, odbudowanej w stylu gotyckim przez krzyżowców, odprawiać chrześcijańskich nabożeństw nie wolno. Pozostaje tylko cicha indywidualna modlitwa. W dniu Zesłania Ducha Świętego w Wieczerniku wcale nie było cicho. Już z daleka dobiegał jakiś dziwny hałas. Okazało się, że to grupa hiszpańskich zielonoświątkowców w sposób ekstatyczny wyrażała swoje religijne uczucia. Ekstaza ta nie była jednak zbyt silna, gdyż z chwilą naszego wejścia odsunęli się na bok i ucichli.

Mszę świętą tego dnia mieliśmy we franciszkańskim kościele usytuowanym przy Wieczerniku. Obok, w kościele Zaśnięcia Najświętszej Marii Panny, celebrował sumę patriarcha Jerozolimy.

Po południu przechodzimy doliną Cedronu obok Sadzawki Siloe i dawnego miasta Dawida, wybudowanego na wzgórzu Ofel. Ksiądz Leszek przypomina biblijne dzieje Jerozolimy i cud uzdrowienia niewidomego. „Idź i obmyj się w Sadzawce Siloe" — pamiętamy tę scenę z opisu Ewangelii św. Jana.

Z przypomnianymi wydarzeniami ze Starego i Nowego Testamentu łączy się dzisiejsza rzeczywistość biednego arabskiego osiedla. Dziecko arabskie prosi o jałmużnę...

Na zboczu przylegającym do Doliny Jozafata — cmentarz bogatych Żydów. Wykupują tu miejsca na groby, by być jak najbliżej w dzień Sądu. Dolina Jozafata niewielka, ale pomieści nas wszystkich, kiedy przestanie obowiązywać przestrzeń i wymiar.

NASTĘPNEGO dnia wybieramy się na całodzienną wyprawę do Galilei. Zatrzymujemy się u podnóża góry Tabor, która wznosi się kopiasto na równinie, samotna, widoczna z daleka. Na jej szczyt wjeżdżamy siedmioosobowymi taksówkami, po ostrych serpentynach. Rozciągają się stąd rozległe widoki na żyzną i zieloną dolinę.

Na Taborze franciszkanie mają klasztor i hospicjum dla pielgrzymów. Opiekują się też wzniesioną w 1924 roku bazyliką, obok której archeolodzy wydobyli fragmenty poprzednich, zniszczonych przez najazdy, sakralnych budowli. Już w IV wieku wzniesiono tu pierwsze sanktuarium upamiętniające Przemienienie Pańskie. W okresie krzyżowców opiekę nad sanktuarium powierzono benedyktynom, a opactwo otoczono wysokim obronnym murem. Szczątki tych budowli można oglądać jeszcze dzisiaj.

Z Taboru jedziemy nad brzegi jeziora Genezaret. Jest spokojne, rozległe. Nad jego brzegami przypominają się liczne, opisane w Ewangeliach wydarzenia związane z nauczaniem i życiem Chrystusa: cudowny połów ryb, uciszenie burzy, chodzenie po wodzie, cudowne rozmnożenie chleba. Spożywamy tu swój suchy prowiant. Niektórzy moczą nogi w ciepłej wodzie, inni poszli do pobliskiego kąpieliska.

Odwiedzamy jeszcze sanktuarium na Górze Błogosławieństw. Stąd odjeżdżamy do Kafarnaum, gdzie wydobyto w czasie prowadzonych wykopalisk ruiny synagogi i kościoła wzniesionego nad domem św. Piotra. To tu do celnika Mateusza Jezus powiedział: „Pójdź za mną". Poszedł. Stał się Apostołem i Ewangelistą.

W drodze powrotnej przejeżdżamy przez Tyberiadę — piękne, nowoczesne i bogate miasto. Z okien autokaru widzimy, wypływający z jeziora Genezaret, Jordan. Niewielka rzeka, ale z szeroką, urodzajną, zieloną doliną. Wzdłuż szosy przebiega zabronowany pas — granica. Do Jordanu teraz nie ma dojścia.

Po pięciu dniach przewodnictwa ksiądz Leszek przekazuje naszą grupę bratu Bogumiłowi, pustelnikowi od lat zadomowionemu w Ziemi Świętej. Nie należy do żadnego zakonnego zgromadzenia, chociaż ubrany jest w szary habit i ma długą siwiejącą już brodę. Pochodzi z okolic Ojcowa. Prowadzi nas pod Ścianę Płaczu i do wystawionych na placu dawnej jerozolimskiej świątyni dwu meczetów.

Najokazalszy jest meczet Kopuły Skały, nazywany też meczetem Omara. Ta monumentalna budowla, wzniesiona w VII wieku przez architektów bizantyjskich, przypomina swoim oktogontem kościoły centralne. Złota kopuła Meczetu przewyższa żywą skałę, z którą wiąże się wiele legend. Tu Abraham miał zapalić stos, by ofiarować swego syna Izaaka. Skała służyła później jako podstawa ołtarza całopalenia świątyni Salomona. Muzułmanie wierzą, że tu przybył z Mekki Mahomet na swym rumaku, otrzymanym od archanioła Gabriela, by modlić się przed wyruszeniem do nieba. Krzyżowcy po zdobyciu Jerozolimy zamienili Meczet na kościół, a po ich klęsce, do dziś spełnia on swoją pierwotną funkcję. Meczet dominuje złotą kopułą nad panoramą Starej Jerozolimy. Uznany za cud architektury i sztuki zdobniczej, urzeka monumentalnością, piękną kolorystyką i bogactwem wystroju.

Opodal, na rozległym placu stoi drugi Meczet al Aqsa (Oddalony). Architektonicznie przypomina siedmionawową bazylikę. W tym wielkim muzułmańskim sanktuarium spotykamy tylko trzech wiernych, siedzących na dywanach i czytających Koran.

(Koniec odc. 2. — cdn.)

Zapiski kanadyjskie

JAK MI SIĘ STRAJKOWAŁO W QUEBECU

Zofia Janik

PO ukończeniu studiów bibliotekarskich rozpoczął się dla mnie nowy, nerwowy okres poszukiwania pracy. Miałam teraz konkretny fach (lepszy od specjalizacji w zakresie Gombrowicza!) i trzeba było w tym kierunku szukać szczęścia. Nie było to łatwe zadanie, ale nie miałam wyboru: albo znajdę w końcu jakąś stałą pracę po siedmiu latach studiów w Montrealu albo, zadecydowałam, wrócę do Polski.

Po sześciu miesiącach przekopywania wszystkich możliwych ogłoszeń, które wpadły mi w rękę i które w jakiś sposób były z dokumentacją związane — choć nie zawsze związek ten był oczywisty — i rozsyłania po całym Quebecu, a także innych prowincjach, życiorysu, listów polecających, kopii dyplomów, wykazu zaliczonych wykładów i otrzymanych not, wreszcie los się do mnie uśmiechnął. Dopuszczono mnie do konkursu na etat dokumentalisty w nowo powstałej rządowej instytucji, zajmującej się problematyką osób kalekich.

Pojechałam więc pewnego wrześniowego i słonecznego dnia do Drummondville na konkurs-rozmowę, coś w rodzaju ustnego egzaminu, zdawanego przed członkami jury mającymi za zadanie wyłowić, z bardzo licznych podań, najlepszego kandydata. Dowiedziałam się później, że zgłosiło się do tej pracy przeszło 400 kandydatów.

Po podróżach, które trwały od samego rana, stanęłam wczesnym popołudniem na konkursowy egzamin. Komitet jury składał się z dwóch osób: pani Robillard, która wówczas pełniła funkcję głównego dyrektora i przewodniczącego rady administracyjnej quebeckiego urzędu do spraw osób upośledzonych fizycznie i umysłowo oraz urodziwego i brodatego Jean-Marca, mojego przyszłego dyrektora. Rozmowa zaczęła się od wstępnych pytań dotyczących życiorysu, wykształcenia i doświadczeń na rynku pracy związanych z nowym etatem.

Później, gdy przeszłam odpowiednie przeszkolenie, by zostać członkiem jury, dowiedziałam się, że nie wolno zadawać kandydatowi pytań osobistych, dotyczących np. wyznawanej religii, pochodzenia, rasy, orientacji seksualnej (homo i heteroseksualiści), a także zapatrywań politycznych i stanu cywilnego (rozwodnik, kawaler, żonaty, ilość dzieci). Kandydat może, jeśli chce, odnotować te dane w życiorysie i częściowo to czyni. Jeśli ktoś urodził się na przykład w Pekinie, są szanse, że jest z pochodzenia Chińczykiem, co można zresztą naocznie stwierdzić. Natomiast wypytywanie na te tematy kandydata — po pierwsze — nie należy do dobrego tonu, a po drugie — może być nawet sądownie karalne, jeśli wykorzystuje się te wiadomości do odrzucenia czyjejś kandydatury lub przeciwnie — do zatrudnienia kogoś z tych właśnie względów. Kanadyjsko-quebecka karta praw człowieka, jedna z najbardziej postępowych na świecie i rozsyłana za darmo na adres każdego mieszkańca Quebecu, czuwa nad przestrzeganiem tych praw.

Po początkowych pytaniach członkowie jury przechodzą do sedna sprawy. Jak zorganizowałabym specjalistyczną bibliotekę w Drummondville? — zapytują. A ja odpowiadam, że krzesło, biurko i telefon zupełnie na początku mi wystarczą i że zajęłabym się raczej koordynacją istniejących już w tej dziedzinie bibliotek i centrów dokumentacji niż gromadzeniem wszystkich na ten temat publikacji w małym Drummondville.

Ale to nie wszystko. Tu, w tym wysoko rozwiniętym kapitaliźmie (używam wyrażenia „kapitalizm" w sensie jak najbardziej dodatnim, bo w dobrze zarządzanym, bogatym kraju łatwo o dobrobyt dla wszystkich), słowo „handel" jest na pierwszym miejscu. Czym, myślę sobie, ja, dokumentalistka, mogę „handlować"? I oto wpada mi do głowy zbawienny koncept marketingu biblioteki, jej rentowności i społecznego oddziaływania. Nie tylko dostarczać szybko i sprawnie pożądane materiały lub wskazać na ich źródło, ale również stwarzać nowe potrzeby i wpływać na podejmowanie decyzji, sugerując zapoznanie się z odpowiednimi danymi statystycznymi, raportami, sprawozdaniami, pracami porównawczymi, analizą problemów itp.

Konkurs wygrałam i od tej pory losy moje, przynajmniej z ekonomicznego punktu widzenia, związane zostały na długie lata z rządem prowincjonalnym i z sympatycznym miasteczkiem Drummondville.

◆

A teraz parę słów na temat warunków pracy. Rząd federalny i rządy prowincji należą do rzadkich w Kanadzie pracodawców gwarantujących stałą pracę. Musi wydarzyć się coś bardzo poważnego, aby początkujący urzędnik został w ciągu pierwszego roku zatrudnienia usunięty z pracy lub by usunięto go później, gdy jest już na stałym etacie.

W ciągu siedmiu lat pracy w urzędzie, zatrudniającym ponad sto osób, jedynie dwóch moich kolegów musiało zrezygnować z pracy. Właściwie nie musiało, tylko stworzono im, jak się tu mówi, „korzystne warunki" do podania się do dymisji, dając im jednocześnie do zrozumienia, że są „persona non grata". Tymi konkretnie korzystnymi warunkami była roczna pensja, którą każdy z nich otrzymał po zwolnieniu zajmowanego stanowiska. (Za średnią roczną pensję tzw. profesjonalisty, tj. urzędnika posiadającego studia uniwersyteckie, można kupić dwa nowe samochody lub pół domu w małym miasteczku).

Głównym powodem takich „dobrowolnych" dymisji jest stosunek do pracy i produktywność urzędnika. Ci ludzie rzeczywiście źle pracowali, obijali się, wykorzystywali, jak się dało, swój status i nie mieli żadnych pozytywnych rezultatów w pracy.

Taka sytuacja trwa zwykle parę dobrych lat, zanim pracodawca zdecyduje się zadziałać. Urzędników broni związek zawodowy, ale i on niewiele może, jeśli chodzi o wydajność pracy i profesjonalizm danej osoby.

Nawet nałogowym alkoholikom, których podobno jest dużo więcej, niż się o nich słyszy czy ich widzi, rząd daje zdrowotne urlopy na leczenie nałogu, jeśli sobie tego życzą. Gdy ktoś stawi się pijany do pracy, odsyła się go do domu, a jego pobory zostają automatycznie obcięte, aż do kompletnego wytrzeźwienia. Nie byłam jeszcze nigdy świadkiem tego rodzaju sytuacji, ale jest ona przewidziana w regulaminie pracy.

Ten regulamin, czyli — dokładniej mówiąc — umowa zbiorowa między związkami zawodowymi (syndykatami) a pracodawcą (w tym wypadku rządem prowincji Quebec), to 120-stronicowy dokument, opisujący dokładnie warunki pracy, informujący o wysokości poborów każdej grupy pracowników, o urlopach, wakacjach itp. Zwykle umowa ta wznawiana jest co trzy lata i czasami dochodzi do strajków, aby wymusić na pracodawcy lepsze warunki pracy.

Podzieleni jesteśmy na dwie główne grupy pracowników: grupę tzw. funkcjonariuszy (sekretarki, technicy, pracownicy biurowi itd.) i grupę profesjonalistów. Profesjonalista, w przeciwieństwie do „zwykłego" urzędnika, posiada co najmniej pierwszy stopień studiów uniwersyteckich. Do tej kategorii urzędników należą np. socjologowie, ekonomiści, pracownicy społeczni, bibliotekarze, dietetyści, informatycy itd.

Trzecią grupę stanowi kadra, to znaczy szefowie oddziałów, dyrektorzy na różnych szczeblach administracji, a także wiceministrowie i ministrowie z pierwszym ministrem na czele. Ta ostatnia grupa pracowników do związku zawodowego oczywiście nie należy.

Przynależność do związku zawodowego w przypadku dwóch pierwszych grup pracowników jest obowiązkowa w tym sensie, że składki członkowskie, w wysokości 30—40 dolarów miesięcznie, ściągane są bezpośrednio z poborów. A więc czy się chce, czy nie, czy się stoi, czy się leży, syndykat bierze, co mu się należy.

Urzędnik pierwszej grupy pracowników może, po ukończeniu trzyletnich studiów lub zdobyciu solidnego i długoletniego doświadczenia w danej dyscyplinie, uzyskać status profesjonalisty. Większość osób pełniących funkcję dyrektora rekrutowana jest spośród drugiej grupy pracowników. Kolega z pracy staje się nagle dyrektorem. Jest więc automatycznie usunięty ze związku zawodowego, ale zapisuje się do związku kadr rządu prowincjonalnego. Zdarza się też nierzadko, że zagorzały działacz związkowy przechodzi do obozu patronów. Ulega wtedy zmianie nie tyle jego pensja, ile sposób widzenia organizacji społecznej, jej problematyki i ewentualnych konfliktów.

Mam za sobą, jak na razie, jeden poważny strajk, z początku lat osiemdziesiątych, w wyniku którego rząd ustanowił specjalne, antystrajkowe prawo (co nie znaczy, że odebrano nam prawo do strajkowania), zmuszając nas do powrotu do pracy. Umowa zbiorowa, dotycząca warunków pracy, została nam narzucona na okres trzyletni. Nasi związkowi szefowie nie mieli prawa do przeprowadzania negocjacji z pracodawcą, jak to zwykle się dzieje. Obcięto też nasze pensje o 20 proc. i zwiększono o pół godziny dzień pracy. Dodatkowe pół godziny dziennie przeznaczone zostały oficjalnie... na dwie 15-minutowe przerwy na kawę: rano i po południu.

Jak przebiegał sam strajk? O jego rozpoczęciu dowiedziałam się od... mojego dyrektora. „Twój związek zawodowy — powiedział mi przez telefon — zaczyna jutro strajkować. Moim zadaniem jest zapewnić ci dostęp do miejsca pracy, ale ponieważ twoja pensja będzie automatycznie obcięta, więc, między nami mówiąc, raczej nie przychodź do biura". Ten przymusowy urlop trwał 3 tygodnie. Uszanowałam oczywiście decyzję mojego związku zawodowego, ale jakoś nie miałam ochoty na manifestacje, protesty, blokowanie wejścia do naszych biur, paradowanie z plakatami. Siedziałam sobie w ciepłym mieszkaniu, sprzątałam i czytałam zaległe powieści.

◆

A teraz jeszcze parę słów o tym, jak przebiega mój typowy dzień tygodnia.

Urzędy są zwykle otwarte od 8.30—9.00 do 16.30—17.00 W południe wszystkich nas obowiązuje przerwa obiadowa, która trwa od 45 minut do półtorej godziny. W godzinach przedpołudniowych i popołudniowych mamy — jak wspomniałam — przerwę na kawę, albo, jak kto woli, na plotki. Ta półgodzinna w sumie przerwa jest wliczana w efektywny czas pracy.

Ja np. rozpoczynam dzień pracy o godz. 8.30. Od 12 do 12.45 wychodzę na obiad, jem w biurze kanapkę lub załatwiam sprawunki, przegryzając w samochodzie, w drodze do sklepu, jabłko i kawałek sera. W ten sposób o godz. 16.15 mam za sobą 7-godzinny dzień pracy. Te 45-minutowe wypady do sklepu są w montrealskiej metropolii raczej utopią. W małym, 40-tysięcznym Drummondville należą one do codziennej rzeczywistości, co nie znaczy, że ganiam codziennie na zakupy. Nie, ale zdarza mi się to raz na tydzień.

Zwykle udaję się do Steinberga — olbrzymiego sklepu spożywczego, oddalonego o 4 minuty jazdy samochodem od mojego biura. Pani Steinbergowa, która założyła kilkadziesiąt lat temu te sklepy, bardzo popularne w całym Quebecu, była podobno Żydówką z Łodzi.

Można tu znaleźć wszystko do jedzenia, picia, opierunku, sprzątania, zasiewu, a nawet hodowli zwierząt domowych. A więc przeróżne mięsa i wyroby mięsne, m.in. obowiązkowo węgierskie salami. Są też tu i buraczki czerwone wraz z kapustą kiszoną marki „Krakus", ze dwadzieścia rodzajów różnych chlebów, bułeczek, ciastek; pływające homary i ryby; specjalne konserwy dla psów i kotów; mleko w proszku dla dzieci, tudzież inne papki i odżywki, z których ja, tzn. moja córka, już wyrosłam. Można również nabyć pieluszki do jednorazowego użycia, owoce tropikalne, stosy przeróżnych proszków do prania, wina i czego dusza zapragnie.

Lady tu nie istnieją, bo zakupów dokonuje się bezpośrednio, wrzucając wybrane produkty do wózka, gdzie nawet przewidziano miejsce do posadzenia małego dziecka. Przy dziesięciu automatycznych kasach uwija się 10 kasjerek i 5 rosłych chłopaków, pakujących do dużych plastykowych pudeł wiktuały klientów, jeśli przyjechali na zakupy samochodem. Tutaj na zakupy rzadko kto chodzi piechotą. Nawet po cmentarzach (!) jeździ się autem. Słyszałam, że rząd w pewnych wypadkach zwraca koszty taksówki osobom bezrobotnym, utrzymującym się wyłącznie z ubezpieczenia społecznego, jeśli udają się na zakupy lub do szpitala. Zjawisko załatwiania sprawunków na piechotę jest częściej spotykane w dużych miastach, a szczególnie w Montrealu skupiającym wielu imigrantów, studentów i ludzi samotnych.

Po wyjściu ze sklepu wpadam do samochodu, podjeżdżam do miejsca, gdzie na żelaznej platformie zjeżdżają po metalowych wałeczkach paki z zakupami. Spuszczam szybę drzwiczek auta i podaję obsługującemu ten serwis młodzieńcowi karteczkę z numerem. Ów młody człowiek ma zwykle na sobie nieskazitelnie białą koszulę z czarną muszką. W tym samym momencie otwieram, bagażnik, naciskając obok kierownicy odpowiedni guzik. Młodzian nadbiega i wkłada do niego mocne, brązowe, stojące „na baczność", papierowe torby, wypełnione towarem. Za tę usługę nic się nie płaci. Co więcej, klient jest panem, bo to właśnie dzięki niemu interes kwitnie lub bankrutuje. Kupisz dwa kilo zapakowanych w plastykowym i przeźroczystym woreczku jabłek, z których jedno czy dwa są nadgniłe (zdarzyło mi się to jeden jedyny raz w ciągu ostatnich ośmiu lat), pracownik Steinberga zwróci ci w ukłonach i z przeprosinami pieniądze lub wymieni wątpliwej jakości produkt.

W takich warunkach można w ciągu 45 min. nabyć wszystkie niezbędne dla całej rodziny artykuły spożywcze na dłuższy czas. Moja koleżanka, sekretarka, z bezrobotnym mężem i trojgiem dzieci w wieku szkolnym, „chodzi" na zakupy tylko raz na dwa tygodnie, co w tym konsumpcyjnym społeczeństwie jest rzadkością, bo ludzie, trzeba czy nie, latają jak opętani do sklepów. Podobno ma nawet wejść w życie prawo zezwalające na otwarcie wszystkich sklepów w Kanadzie w niedzielę, na podobieństwo oczywiście naszego gigantycznego południowego sąsiada. Osobiście nie jestem za tego rodzaju prawem i zamiast uganiać się po sklepach, by oglądać nowe ciuchy i wyłowić coś z przeceny, wolę poczytać dobrą książkę.

Fragment książki „Quebec, moją drugą ojczyzną", złożonej do druku w Wydawnictwie „Polonia", Oddział w Lublinie.

Z BIEGIEM BUGU

Adam W. Kulik

Pałac w Konstantynowie.

JEDZIEMY do Terespola, wyjątrując po drodze fortów twierdzy brzeskiej, w których dzisiaj kisi się i przechowuje słynne terespolskie ogórki. Sam Terespol interesuje mnie z racji swej „wędrówki": położony pierwotnie tuż przy Bugu, naprzeciw Brześcia, odsuwał się od niego w miarę jak twierdzę brzeską otaczano coraz to dalszymi pasmami umocnień i fortów. Kiedy miasto potrzebowało terenów pod nowe fortyfikacje, Terespol posłusznie wyburzał część swoich domów, przesuwając się na Zachód. W efekcie ze starego, ładnego miasteczka pozostała jedynie klasycystyczna cerkiew z końca XVIII wieku, a ono samo przypomina dziś rozczłapany chodak. Oprócz cerkwi wart obejrzenia jest żeliwny obelisk z 1823 roku, zdobiony płaskorzeźbami, upamiętniający budowę pierwszej w Kongresówce drogi bitej z Warszawy do Brześcia.

Staramy się dotrzeć do Bugu, aby zobaczyć Brześć bodaj przez wodę. Kluczymy koło przejścia granicznego, udaje się wyjechać na dawną drogę wybudowaną w dwudziestoleciu międzywojennym — charakterystyczne konstrukcje, nawet kształt słupków przy drodze. Przebijamy się nad stare bużysko przygotowane do kiszenia ogórków, ale Brześcia nie widać, oddziela go nieprzenikniona ściana wierzb i olch splecionych chaszczami. Wracamy, poszukując wylotówki w stronę miejscowości Neple. Po drodze, w eleganckiej „Toyocie" szałblondyna po czterdziestce (może nawet wdowa?), o jakiej marzyliśmy przemocnięci w okolicach Włodawy. (Taka, co to podwiezie, nakarmi, a i jeszcze utuli.)

W Neplach Kalikst Mierzejewski pobudował czy też przebudował, należący wcześniej do Niemcewiczów (bywał tu Julian Ursyn), dwór na okazały, otoczony amfiteatrem z kwiatów, pałac, który spłonął w 1854 roku. Znajdowała się tutaj olbrzymia, projektowana na cztery tysiące krzewów, cieplarnia, ananasarnia i zwierzyniec, którego ozdobę stanowiły żubry i daniele. Kilkakrotnie gościł u Mierzejewskich car Aleksander I, podobno czuły na urodę dziedziczki.

Z fantastycznego niegdyś założenia pozostał 18-hektarowy park z niecką w kształcie amfiteatru, schodzącą do rzeki Krzny; część tzw. biwaku, w którym zamieszkiwał car; znajnowana, neogotycka kaplica grobowa Kaliksta i Juliusza Mierzejewskich oraz pawilon parkowy z połowy XIX wieku, zwany przez miejscowych białym dworkiem — mieszkała w nim do wojny hrabina Jelska (dziś we Włoszech). W zdziczałym parku stoją kolonijne domki kempingowe, a namacalną pamiątkę jego świetności stanowi okazała aleja grabowa.

Biwak w Neplach.

W zagrodzie Jana Sobolewskiego, ze sterty zardzewiałego sprzętu gospodarskiego wyrasta ogromny głaz, upamiętniający miejsce upadku z konia jedenastoletniego syna Mierzejewskich, Juliusza Augusta, którego trzymał do chrztu Aleksander I. Po miesięcznej kuracji dziecko zmarło; na żeliwnym krzyżu wpuszczonym w głaz rodzice wyliczyli życie jedynaka do godziny... Kamień przewleczono wołami z położonego po drugiej stronie Bugu Wołczyna, tego samego, w którym po cichu złożono szczątki Stanisława Augusta Poniatowskiego po przewiezieniu ich z Petersburga, z kościoła św. Katarzyny.

Dwa czy trzy lata temu, wertując bodaj 70 numer „Zeszytów Historycznych" wychodzących w Paryżu, natknąłem się na relację z pobytu w rodzinnym mieście króla: kościół, w którym go pochowano, znajdował się w bardzo złym stanie, zdążył już pełnić — zwykłą dla świątyń po zamknięciu — funkcję magazynu. Zewnętrzna, drewniana trumna nie istniała, z wewnętrznej, ołowianej miejscowi chłopi porobili poidła dla kur... Neple miały szczęście do sławnych ludzi: pod koniec XIX wieku kupił je budowniczy mostów na Wiśle i Newie, Stanisław Kierbedź, w 1916 roku przebywał tutaj krótko sam Dziadek.

Konfiguracja terenu przypomina nieco Roztocze, odbiegając w swoim pofałdowaniu od spokojnego, jakby bardziej przezroczystego krajobrazu Podlasia. Pedałując niespiesznie, odczuwamy te zmiany namacalnie: Roztocze jest gwałtowne, rozwichrzone, drogi, uciekając przed pagórami, gubią się w zakrętach i uskokach, często odpoczywają wzdłuż rozciągniętych na kilka, kilkanaście kilometrów podmokłych dolin-łąk otoczonych wzgórzami. Tutaj wzniesienia płyną dłuższymi, niższymi falami, jedzie się lżej, ale bardziej monotonnie. Do Janowa Podlaskiego wjeżdżamy przed dziewiątą wieczorem, okrążamy miasteczko, chcąc nasycić się jego klimatem. Niedaleko rynku chłop z babą zrzucają siano z wozu do stodoły — nocleg akurat dla nas. Jedziemy jednak do zamku biskupów łuckich, po którym pozostały dwa boczne skrzydła, korpus główny zburzono podczas insurekcji kościuszkowskiej i tak zostało. Dzieci prowadzą nas do groty Naruszewicza (1790 r.), przypominającej kształtem — budowla w formie stojącego walca, zbudowanego z dużych głazów narzutowych — grobowiec tracki. Po drodze forsujemy fosę i wał ziemny. Park duży, ładny z wykorzystaniem pozostałości po fortyfikacjach, ale mocno zaniedbany.

Podjeżdżamy pod furtkę, stodoła już zamknięta. Na podwórku rozszczekany bryś. Za nic nie chcę iść z prośbą o nocleg, usiłuję wyekspediować Marka, ale nie daje się. Wchodzimy razem. Zza traktoru wyskakuje baba — zły znak.

— Dobry wieczór! Moglibyśmy u państwa przenocować na sianie?

— Nie mamy siana.

Od razu chcę zawrócić, ale Marek pompuje:

— Widzieliśmy, jak zrzucaliście do stodoły.

— E, panie, bo to wiadomo, kto i co? My się niedawno spalili.

— Nie palimy obydwaj.

— Chodź — mówię do Marka — poszukamy gdzie indziej.

Baba wychodzi za nami do furtki. Wsiadamy na objuczone rowery.

— Niepotrzebnie leźliśmy, miałeś przeczucie. Mnie się też nie chciało. „Niedawno spalili", nowa kamienica-pustakownica, traktor, sprzęt. Jak baba wyłazi, to już jest źle: wiadomo, kto rządzi. Z chłopem zawsze się dogadasz.

Krążymy długo, wyjeżdżamy za rogatki. Ruszać dalej? Po nocy? Przy wyjeździe do Konstantynowa — trzy parterowe domki.

— Pilnuj rowerów — powiada mój towarzysz i idzie do pierwszego. Za chwilę woła:

— Chodź! Bóg ma w opiece swoich pątników. Wdowa!

Może dziesięcioletni, ładny chłopak, zafascynowany rowerami, opowiadaniami, wlepia w nas błyszczące, ciekawe oczy. Schludnie, przytulnie, gospodyni nie pozwala ruszać naszej herbaty, częstuje swoją. Ma wyrzuty, że nie może nas położyć w domu; może chociaż w kuchni letniej na tapczanie? Wybieramy siano. Siedzimy długo, rozmawiając przy pachnącej herbacie.

DZIEŃ VIII

Na śniadanie jajka na twardo. Nasza opiekunka wzbrania się przed przyjęciem pieniędzy. Marek, który ma łatwiejszy kontakt, wysłuchuje kolejnej historii życia.

Ranek ciepły, słoneczny. Zaglądamy do kościoła pokatedralnego, w którym pochowano w krypcie pod głównym ołtarzem biskupa łuckiego Adama Naruszewicza. (Janów miał szczęście do terminów zastępczych: w latach 1465—1796 był siedzibą biskupów łuckich, którzy tutaj, nie w Łucku, mieli swoją katedrę, w międzywojniu — 1918—32 — tutaj mieścił się urząd powiatu konstantynowskiego). W wyniosłej, XVIII-wiecznej budowli zachowało się marmurowe epitafium biskupa Kobielskiego (po 1755 r.), takiż pomnik ulubieńca króla Stasia (1861) oraz dwanaście płócien ze szkoły Franciszka Smuglewicza (XVIII/XIX w.).

Kościół podominikański przed pożarem (1655) — barokowy, po pożarze odbudowany jako klasycystyczny, niezbyt ciekawy architektonicznie. W XIX wieku oczywiście zamieniony na cerkiew.

Jadąc zabytkową aleją do dawnego folwarku Wygoda, w którym dziś mieści się stadnina koni arabskich, rozglądamy się: być może gdzieś tutaj, na nadbużańskich łęgach Czesław Tański dokonał pierwszego na naszych ziemiach lotu z terenu płaskiego. Uczynił to w roku 1896 na szybowcu własnej konstrukcji, któremu dał nazwę „Lotnia". Tak Podlasie wpisało się w historię polskiego lotnictwa u samego zarania.

Oficyna biskupów łuckich w Janowie Podlaskim.

Wygoda. Stada pasących się koni po obu stronach drogi, klasycystyczne, znane z folderów i plakatów, stajnie projektu Henryka Marconiego, ocienione wysokimi drzewami. Przy kręcących się karuzelach ogiery, którym elektryczny silnik pomaga zaliczyć dzienną porcję kilometrów. Więc to tutaj, na aukcje, przylatują helikopterami, bezpośrednio z hotelu „Forum" w Warszawie, liczący się w świecie hodowcy koni.

Masztalerze siedzą na belce płotu przy karuzelach, popalają. Konie jak konie, wszystkie piękne, ale jest kasztan wielkiej urody i drugi, łaciaty.

— Jaka to maść? — pytam.

— Srokacz.

— To zarodowe?

— Tak.

Właściwie nie patrzę, kontempluję. Terlecki robi to, co zwykle: zakłada nowy film. Jego złapało jeszcze mocniej, nie dziwię się — te zwierzęta są jego pasją, któż je dzisiaj maluje żarliwiej od niego? Do niedawna żaden z obrazów jego nieokiełznanego, symbolicznego malarstwa nie mógł obejść się bez motywu konia. Nawet w moim portrecie włosy ułożyły się w skrzydła rzucającego się w fosforyzującą przepaść, oszalałego zwierzaka.

Z janowskimi rumakami było różnie: po wybuchu I wojny światowej wywieziono je do Rosji — już nie wróciły. Po jej zakończeniu sprowadzono nowe, m.in. potomków koni zabranych w roku 1845 prosto z pustyni przez Juliusza Dzieduszyckiego po likwidacji stadniny Dzieduszyckich w Jezupolu. W czasie drugiej wojny konie przesiedlono do Saksonii; część wróciła, reszta pozostała w RFN, a nawet trafiła do USA, mimo polskich sprzeciwów, odnosząc tam wielkie sukcesy. Nie chcę przypominać sobie mnogich pucharów i championatów, myślę o potomku Wielkiego Szlema — Artemonze, którego oglądałem pod Janem Kowalczykiem, w Moskwie na Łużnikach. W końcowej rozgrywce zostało ich dwóch: Rosjanin i Kowalczyk; kiedy koń Rosjanina zbuntował się przed przeszkodą, wiedzieliśmy, że lepszy czas będzie miał nasz kawalerzysta, że złoto olimpijskie jest jego. Rosjanin jeszcze jechał, a polskie sektory szalały ze szczęścia.

Snujemy się dróżkami zaglądając do stajni, pstrykając pamiątkowe zdjęcia. Przy wyjeździe duże stado na pastwisku po prawej podchodzi pod płot, konie są ciekawe i łakome; obwąchują ręce, szukając cukru.

Do Konstantynowa (z hakiem dziesięć kilometrów) — rowerowy dyskurs na temat koni. Przed kolumnowym portykiem pałacyku witają nas dwa kamienne lwy. Siadamy na jednym i poczytując przewodniki, odpoczywamy, rozmawiamy z mieszkańcami przychodzącymi do apteki, mieszczącej się w klasycystycznym skrzydle. Część neogotycką, też znaną z plakatów, zajmuje szkoła. Ktoś podpowiada nazwisko Mariana Semprucha, inspektora oświaty i wychowania, który wita nas, jakbyśmy byli starymi znajomymi. Odpoczywamy w saloniku, w którym zachował się komplet mebli gdańskich — jedyny z całego wyposażenia pałacu. W czterdziestym piątym roku nie zniszczony obiekt (mieścił się tutaj sztab niemiecki) przejęła jednostka radziecka; właśnie wtedy wywieziono z niego dwadzieścia dwa samochody mebli, obrazów, tkanin i innego wyposażenia. Rujnacja (ślady konserw na ścianach i sufitach, zdewastowane całe sale, porozbijane kafelki holenderskie w łazienkach itp.) znalazła odzwierciedlenie w protokole zdawczo-odbiorczym przy przekazywaniu pałacu Polakom. Protokół podpisał dowódca jednostki polskiej (przejmujący), natomiast dowódca jednostki rosyjskiej — nie. Cóż, wojna, by nie używać mocniejszych słów.

Oglądamy maszynopis zawierający historię dawnego miasteczka, zachowały się przedwojenne zdjęcia budowli i ogrodów, właścicieli — hrabiowskiej rodziny Zyberk—Platerów, której kolejne pokolenia żyją dzisiaj w Belgii. Pan Sempruch opowiada o kłopotach, których nie szczędzi i życie i biurokracja.

— Gospodarzę tutaj trzynaście lat, założyłem centralne ogrzewanie, ponownie udostępniłem przejście z jednego skrzydła do drugiego, które ktoś nie wiadomo po co zamurował. Ile chodzenia, namawiania, przekonywania. Wy w Zamościu macie dobrze, tam o kulturę się dba — kończy niespodziewanie.

Patrzymy po sobie zaskoczeni: jak wobec tego wytłumaczyć wyburzenie kamienicy na tyłach dawnego hotelu z zachowanymi XVII-wiecznymi stropami, zrujnowanie pozostałości jedynej w kraju świątyni ormiańskiej i wybudowanie — dlaczego akurat na jej miejscu? — hotelu o szumnej nazwie „Renesans" (patrz: z jakim pietyzmem Warszawa zachowała odkopany przypadkiem most przy kolumnie Zygmunta). Co sądzić o wyburzaniu w dalszym ciągu kamienic przy solnym rynku i stawianiu w ich miejscu współczesnych atrap? A express—konserwacje na dożynki anno 1980, rozlażące się po paru miesiącach? Jest na kogo zwalić, to oczywiście „późny Gierek", jakby od czterdziestu paru lat zmieniło się cokolwiek: nowe garnitury pionków sposobią się i tłoczą, rozstawia je wciąż ta sama ręka...

Jedziemy do parku, a właściwie do jego resztek — są ślady stawów, gdzieniegdzie układ drzew świadczy o przebiegającej niegdyś alei, zachowały się fragmenty okalającego muru z dużych, narzutowych głazów, ot i wszystko. Ponownie lądujemy na lwie, bez czubka łba zresztą.

— Daj jeszcze Paska — mówi Marek.

Zaglądam do przewodnika po Podlasiu Macieja Podgórskiego, w którym jest opis pojedynku Jana Chryzostoma Paska, odbytego tutaj, w roku 1660 w Konstantynowie, nazywającym się jeszcze Kozierady:

„Rozłożono obóz i Pasek poszedł się napić do namiotu Jasińskiego i braci Nuczyńskich. Wybuchła waśń i Pasek opuścił towarzystwo, ale towarzystwo nie opuściło Paska.

Wpierw doskoczył starszy Nuczyński. I Pasek: »Ja go tnę w puls, wywrócił się«.

Następnie doskoczył młodszy Nuczyński. I Pasek: »Pan Bóg zaś patrzał na niewinność. Zetrzemy się, i ręka, i szabla upadła«.

Wreszcie doskoczył Marcjan Jasiński i ciął Paska w łeb. Wszelako Pasek: »Ja też urwę go w łeb, jakby nie był na nogach. Dopiero go płazem pocznę walić na ziemi, wziąwszy w obie ręce szablę«. »Była to w ten dzień kryzys tak zła, że z piętnaście pojedynków odprawowało się pod różnymi chorągwiami«" — wojsk Stefana Czarnieckiego oczywiście.

(Koniec odc. 6. — cdn.)

Fotografował:
Waldemar Stępień

TAKI PEJZAŻ...

sfotografował Waldemar Stępień

Rozpoczynamy druk pamiętnika z wojny polsko-radzieckiej 1920 roku. Obejmuje on przełomowy okres działań wojennych, tj. od 18 lipca do 5 października, a więc bitwę warszawską i ofensywę polską. Autor, Aleksander Zygmunt Kielasiński (ur. 1901) był podówczas uczniem Gimnazjum im. Jana Zamoyskiego w Lublinie i harcerzem drużyny tegoż imienia. Jak wielu młodych ludzi, wobec dramatycznej sytuacji na froncie, zgłosił się ochotniczo do wojska. Zwolniony z armii jesienią 1920, podjął naukę, ukończył studia medyczne w Poznaniu. W późniejszych latach m. in. ordynator oddziałów szpitali w Poznaniu, Toruniu i Działdowie. Od 1938 roku pracował jako lekarz domowy w Ubezpieczalni Społecznej w Lublinie. W czasie okupacji żołnierz AK, naczelny lekarz Lubelskiego Inspektoratu Armii Krajowej. Zginął na Zamku jesienią 1944 roku.

Opracowując dziennik Aleksandra Kielasińskiego, staraliśmy się zachować maksymalną wierność pierwowzoru, nie ingerować w oryginalny styl i nastrój wojennych przeżyć. Pragniemy zwrócić jedynie uwagę na wrażliwość autora, nie przytępioną koszmarem wojny, i na język, jakim się posługuje, wystawiając doskonałe świadectwo ówczesnym profesorom „Zamoja".

(RED.)

WAKACJE Z BRONIĄ 1920

Aleksander Kielasiński

LUBLIN, 17 LIPCA. Na stacji tłumy ludzi. Żegnano nas okrzykami. Orkiestra grała. Oboje rodzice odprowadzili mnie na stację. Matka łzami zalana, ojciec kułakiem coś zawzięcie z policzka ścierał. Ni radość, ni smutek panował wokoło — podniecenie, obawa, łzy. Toż to dzieciuchy szły...

Dano sygnał odjazdu. Ktoś mi w ostatniej chwili wcisnął bukiet kwiatów w dłonie.

— Bądźcie zdrowi! — wołałem do rodziców.

— Niech Bóg i Matka Boska czuwa nad tobą, dziecko. — Przeżegnali mnie krzyżem świętym. Coś mnie w gardle dusiło. Żal. Pociąg ruszył wśród tysiąca okrzyków, śpiewów, zawodzeń. Wstyd było chwilowej słabości.

Naraz cały pociąg zatrząsł się od „Pierwszej Brygady". Wtedy pierwszy raz tę melodię słyszałem. Okrutnie mi się podobała. Wszyscy tłoczyliśmy się do okien, aby jeszcze ostatnim spojrzeniem objąć tych, co stali na peronie. Wielu może z nas nie wróci... Ostatni raz! Toteż w oknach po kilka głów naraz, a pociąg mknął zawzięcie ku Warszawie, pogwizdując od czasu do czasu. Już wszystko zniknęło z oczu, a jeszcze patrzyliśmy w dal. W końcu myśl o nowym życiu wyparła niedawno przeżyte wrażenia pożegnania Lublina.

Z młodzieńczym zapałem snuliśmy plany na najbliższą przyszłość.

— Trzymajmy się jeno kupy — mówiliśmy do siebie.

Po drodze przysiadali się nowi ochotnicy. Wagony nasze były pełne, doczepiali inne. Zajechaliśmy po południu na Dworzec Gdański. Tu nam oświadczono, że musimy jechać do Rembertowa, bo tam się gromadzą ochotnicy.

18 LIPCA. Przybyliśmy do Rembertowa, ale niepotrzebnie. Nie wiedziano, co z nami zrobić. Pierwszą noc spędziliśmy na gołych deskach w jakiejś szopie. Dostaliśmy „kawy do zupy".

19 LIPCA. Niepotrzebnie przyjechaliśmy do Rembertowa, wyjeżdżamy po południu do Warszawy do cytadeli.

20 LIPCA. Nie wyjechaliśmy jeszcze. Komedie tu są. Zjeżdżają się studenci. Spać nam nocy dzisiejszej nie dali. Dzielą się co chwila wrażeniami nowego życia. Któryś wdrapał się na moją pryczę w nocy i buty mi w zęby wsadził. Gdy się obudziłem na dobre, to ktoś jęczał pod pryczą. Widocznie go zwaliłem.

Nasza wiara ma dobry humor. Pobudka była o piątej. Chłodno trochę. Kąpałem się pod kranem u studni i dostałem chrypki, ale to nic.

Dowiedziałem się wczoraj, że Lidę zajęli bolszewicy.

WARSZAWA, 21 LIPCA. Włóczymy się od Annasza do Kajfasza. Stoimy obecnie na Bonifraterskiej w fabryce papierosów Polakiewicza. Brudy, kupa śmieci. Stałem dziś na warcie — rozumie się — ochotniczo. Dumny jestem z tego. A spać mi się chce, rety!

Zysiek Świtalski jest tutaj razem z kielczanami, ale chce wyrywać do domu, bo mu ciężko. Nasza 10 kompania same zuchy — nikt nie cofnął się. Stąd ktoś zwiał, stamtąd, od nas — nikt.

22 LIPCA. Bieda. Rozdzielili nas: Lutek, Jurek Kruszewski, Olek Ruciński, Mietek wstąpili do oddziału karabinów maszynowych. Spóźniłem się, bo bym z nimi poszedł. Sam zostanę w 221 pp.

Aleśmy morowo spali. Ja nawet coś śniłem, choć to na bruku. Tylko ta separacja... Ale jestem żołnierz!!!

WARSZAWA, 23 LIPCA. Dostaliśmy się do cytadeli. Jest przynajmniej na czym spać, bo są nawet sienniki. Nary piętrowe. Wczoraj czułem się zdenerwowany, gnębiło mnie przeczucie, że zginę na froncie...

Marnie się czuję, bo nic nie robimy w koszarach. Sala nasza jest w środkowym gmachu na I piętrze. Ogromna sala. Będzie nas chyba ze 200. Młodzi, sami młodzi, nieledwie dzieci, tak jak np. Walek Piłoski — 15-letni chłopczyk, różowy i „mleczny".

Przywieźliśmy mundury dzisiaj. Wybrałem sobie całkiem zgrabny strój. „Cywila" trzeba będzie odesłać do domu. Jutro ma być komisja wojskowo-lekarska. Zdaje mi się, że do służby frontowej się całkiem nadaję, ale się boję, bo nuż mi powiedzą, że jestem „ciura".

24 LIPCA. Z 10 kompanii zrobiono 1. Nareszcie. Stało się. Po komisji. Kategoria A. Górą nasi! A paru odpadło. Któryś miał plenzit, coś jak wodę w boku i odstawili go. Chłop jak dąb. Myślę, że ten medyk, to niecały medyk.

Lutek już poszedł na front. My może w krótkim czasie też wyruszymy. Tylko to dziwne przeczucie niepotrzebne.

25 LIPCA. Wieczór cichy. Krwawy zachód. Drzewa czernią się za oknami. Wspomnienia cisną się do głowy. Oj, wyrwałbym ci się z tych murów i poszedł na koniec świata.

Kompania na ćwiczeniach. Jestem żołnierzem inspekcyjnym.

Poszliśmy się wczoraj kąpać do Wisły, bo tak gorąco. Pyszna woda. Skusiłem się, aby przepłynąć koło mostu za cytadelą. Dopłynąłem do środka, ale czuję się tak zmęczony, że ledwo ręką mogę ruszyć. Strach mnie zaczął ogarniać, bo nikogo wokoło, a tu prąd mnie trochę znosi ku mostowi. Ciarki mi zaczynają po skórze łazić. Resztkami sił dowlokłem się do brzegu i padłem na piasek wyczerpany. Leżałem z pół godziny, ale trzeba tą samą drogą wracać. Z obawą w sercu płynę, ale jakoś raźniej, do wyspy na środku Wisły. Ława piachu. Po drodze słyszę krzyk tonącego kielczanina, Pogorzelskiego Czesława. Boję się do niego przybliżyć, bo mnie wciągnie do głębi, raz się już zanurzył. Dodaję mu ducha i zaczynam krzyczeć co sił:

— Ratunku! Ratunku, ratunku!

Zauważyłem wkrótce łódź. Zabrali Pogorzelskiego, a mnie zostawili.

— Topię się! — krzyczę i zanurzyłem się pod wodą. Siły mnie opadły.

Rzucili mi wiosło, którego chwyciłem się kurczowo i — ocalałem. Brr! Brr! Tysiąc razy brr!

WARSZAWA, 28 LIPCA. Zaprzyjaźniłem się z Jankiem Wenclem. Patrzy trochę wilkiem, ale to nic. Śpi koło mnie. Na parterze Jurek Kędracki, który z nieufnością na nas patrzy, jak w ogóle na wszystkich harcerzy, bo sam nie harcerz. Jest też Czesiek Zadróżny, „ukrainiec", „sierżant liniowy" — mały, w szerokich spodniach, z miną zadzierzystą: „Ja, sierżant linjowy!" Taki sierżant jak i ja. Smyk ma ze 16 lat.

Coś za długo siedzimy w tej cytadeli. Dziś widziałem paczkę rannych spośród kolegów, którzy niedawno wyruszyli. Z bliższych — nikogo.

Ich kompania szła drogą „na front". Naraz rozległa się kanonada, bolszewickie karabiny maszynowe zaczęły pracować. Nasi dzieciuchowie w krzyk i — dużo rannych. Zaskoczyli ich bolszewicy i to całkiem niedaleko od Warszawy. Stanowczo za długo tu siedzimy.

1 SIERPNIA. Dziś ostre pogotowie wojenne, dostaliśmy karabiny francuskie. Wielkie ciężkie karabiny. Jak to dźwigać?

Piszę listy pożegnalne i pełne żałości.

Bolszewicy zajęli Łomżę. Harcerki przysłały pozdrowienia z Lublina. Jurek i Lutek mają listy, ale ich tu nie ma: kropią już bolszewików. Kiepsko się czuję z tą bezczynnością koszarową, chorawy. Coś z żołądkiem nie w porządku. Bo też człowiek jada... Pożal się Boże, bez żadnej miary czekoladę z kapustą i ze śledziami. Czerwonka panuje w koszarach. I ja chyba mam czerwonkę.

2 SIERPNIA, CYTADELA. Leżę chory. Lekarz kazał mi się położyć „do łóżka". Brr. Co mnie to kosztuje! Mówię wczoraj do Zosi Podhorskiej:

— Czuję się chory, druhno! Proszę zmówić „Zdrowaś" na moją intencję.

— Dobrze, druhu — odrzekła. Bardzo to sympatyczna druhna. Lubię ją niezmiernie.

Dobrze przynajmniej, że leżę w koszarach, jeszcze by mi front przepadł. Tu się prędzej czy później wykuruję.

4 SIERPNIA. Jeszcze choruję. Pielęgnuje mnie druhna Milawska.

WARSZAWA, 9 SIERPNIA. Finisz, kochanku, z ćwiczeniami. Jedziemy na front! Całą noc dzisiejszą „ostre pogotowie". Mamy już karabiny. Plecaki naładowane. Wiara podniecona. Wokół ktoś komuś się zwierza.

— Mam tu list w portfelu — mówi Jasiek Wencel. — W razie gdybym zginął, oddasz go „Jej".

— Po co te tragiczne: „zginę"?

— Nie mogę sobie poradzić.

W świetlicy gwarno.

— „Matuś" — mówię do Zosi Podhorskiej — nie zapomnij o mnie.

— Nie zapomnę.

— Czuwaj! „Matuś".

— Czuwaj! „Syneczku" — i świeczki jej w oczach stanęły. Mnie też się trochę wilgotno zrobiło. Jakiś podniosło-płaksiwy nastrój. Harcerki ocierają łzy ukradkiem. Napisałem mnóstwo listów do domu, do znajomych.

— Zdaje się, że wyruszamy z 8 dywizją pod Lwów. Może przez Lublin. Morowo! Karabin wyczyściłem należycie. Niedługo może będzie pukał do bolszewików.

Ciężko nam będzie z tyloma gratami. Wszystko co niepotrzebne wysłałem do domu. Nie miałem do tej pory żadnego listu, a dobrze byłoby, gdyby kto napisał. Ale cieszę się z tego, że wyruszymy nareszcie z tej kochanej cytadeli. Gorsze to, że nie uczyliśmy się strzelać, a karabiny francuskie podobno się zacinają. Co wtedy zrobić? Będzie kłopot.

WARSZAWA, 10 SIERPNIA. Co jest? Wstrzymano nasz wyjazd! Skandal! Powinni już nas wysłać. Mnie to się piekielnie nudzi.

Wczoraj bardzo sympatycznie urządziliśmy wieczór w świetlicy. Druhowie śpiewali i deklamowali. Atmosfera była nader podniosła. Rano budzimy się. Spojrzałem w okno. Świt tylko co zarumienił niebiosa, które wyglądają jakby nakryte gazą świetlistą, przejrzystą. I wytrysnął snop światła karminowego jak krew ze świeżo odkrytych ran. Świat uśmiecha się do nas, czaruje pięknością, do życia wzywa — a my pójdziemy w śmiercionośny bój. Może podobna purpura okryje niebo, gdy będziemy na pobojowisku.

11 SIERPNIA. No i zostaliśmy w Warszawie. Ostre pogotowie się stępiło. Przecież to straszne. Tam się biją na froncie, a my tu jeszcze tkwimy na miejscu. Rozkaz — to rozkaz.

Dowiedziałem się, że Wacek, brat mój, podobno ranny i leży w szpitalu ujazdowskim. Tylko podobno, bo bliższych szczegółów nie mam. Bolszewicy zbliżają się do Warszawy, może jej będziemy bronili...

12 SIERPNIA. Pogotowie znów się zaostrzyło. Bogu dzięki! Niedługo wyruszymy. Ale może nas budzą tylko. Siedzimy tu już 4 tydzień, nic nie robiąc — strach, co to będzie. Ani jeden z zuchów nie strzelał z karabinu. Szczęście, że umiem strzelać.

„Matuś" przysłała mi różne frykasy wraz z fotografią i album do wpisania. Co tu wpisać? Trudno uchwycić jakąś mądrą myśl w tym zgiełku, gdzie 200 chłopa naraz mówi. Gdzie tam mówi — wrzeszczy:

— My chcemy iść na front!

Słyszałem, że kompania karabinów maszynowych, w której służy Lutek, jest rozbita, a chłopcy ranni. Wilk (Wilczyński) — zabity. Nie wierzę w to. Tego Wilka specjalnie jakoś nie lubiłem, szkoda jednak chłopa, żal matki, bo był jedynakiem...

Południe. Znów ostre pogotowie. Dziś mamy bezwzględnie wyruszyć. Ale to przecież cytadela.

Wieczór. Nareszcie jesteśmy poza koszarami. Może nas już nie cofną, byliby „huncwotami". Mamy podobno iść w kierunku Pułtuska. W ostatniej chwili zrobiło mi się żal, ale nie wiem czego. Idę z pewnością, że wrócę, a nuż... miałyby być to ostatnie chwile mego życia. Żal. Brr.

Noc już zapadła — nie za spokojna, dziwna noc. „Choć burza huczy wkoło nas. Do góry wznieśmy skroń" — huknęło jak grzmot. Aż w sercu lżej się zrobiło.

23 SIERPNIA. Dostajemy amunicję, a więc pójdziemy!

W drodze do Rembertowa, tak mi się zdaje. Marszem niedbałym opuściliśmy Warszawę. Rano było. Nieliczni przechodnie, trochę kwiatów z okien posypało się na nasze głowy.

Nogi mnie trochę bolą. Buty mam niewygodne, ale idzie się jakoś — podobno aż na sam front. To niedaleko, bo zaledwie 45 wiorst. Co z nami będzie, nie wiemy.

(KONIEC ODC. 1. — CDN.)

„Narody zachodnie zupełnie nie rozumieją Rosji Radzieckiej, jak nie rozumiały Rosji carskiej"

WŁADIMIR POTIOMKIN W WARSZAWIE

Mieczysław Wieliczko

WIZYTA wicekomisarza spraw zagranicznych ZSRR, rozpoczęta wieczorem 9 maja 1939 r., była tyle nieoczekiwana, co niezwykle ważna. Podobnej rangi przedstawiciel radziecki gościł w Polsce ostatni raz w... 1925 roku (Gieorgij W. Cziczerin), a od czasu odwołania do Moskwy z początkiem października 1937 r. ambasadora Jakowa M. Dawtiana, nie obsadzono placówki w Warszawie. Ba, nawet nie wszystkie jej attachaty posiadały urzędników kierujących ich pracą.

Był to wyraz désinteressement dla stosunków dyplomatycznych z Polską, a mówiąc inaczej, stanowiło to fragment o wiele znaczniejszych wydarzeń wewnętrznych w Związku Radzieckim, a także międzynarodowych. Jest to węzeł takich problemów, że tylko uproszczone kalendarium faktów może przybliżyć pewne rozpoznanie sytuacji w stosunkach polsko-radzieckich, rozpoznanie potrzebne do oceny wydarzenia, jakim była warszawska wizyta dyplomaty radzieckiego.

POCZĄWSZY od marca 1937 r., od pierwszych procesów politycznych (np. Bucharina, Rykowa, Radka, procesów wojskowych) oskarżano obwinionych o kontakty z II Oddziałem Sztabu Głównego Wojska Polskiego, szpiegostwo na rzecz Polski i inne wrogie zamiary wobec władzy ludu, powiązane z Polakami. A to już umiał znakomicie przedstawić Andriej Wyszyński prokurator w większości „głównych" procesów. Na tej podstawie uznano Polskę za państwo prowadzące najbardziej wrogą politykę wobec ZSRR.

Od aresztowania sekretarza generalnego KPP Juliana Leszczyńskiego 17 czerwca 1937 r. rozpoczęła się akcja „rozwiązywania" partii polskiej (jak ostatnio ujawniono, 16 sierpnia 1938 r. zapadła decyzja Biura Międzynarodówki Komunistycznej) i był to jakby nowy aspekt sytuacji. Jeszcze inny stanowiło żądanie likwidacji konsulatów polskich w Tbilisi i Charkowie, bowiem Polacy zamieszkali na Ukrainie i Kaukazie wyjechali lub optowali na rzecz ZSRR, jak głosiła nota skierowana do ambasady polskiej w Moskwie. 1 grudnia konsulaty zostały zamknięte. W tym też czasie pojawiły się incydenty graniczne... 17 marca 1938 r. Litwinow uznał polskie ultimatum, skierowane do Litwy w sprawie nawiązania stosunków dyplomatycznych, jako naruszenie bezpieczeństwa europejskiego na równi z Anschlussem Austrii!

Dopiero od 26 listopada 1938 r. można mówić o poprawie stosunków, bowiem ogłoszono wtedy uzgodniony, wspólny komunikat PAT-a i TASSA-a o podstawach tych stosunków określonych w dwustronnych traktatach i zapewnieniu obydwu rządów co do lojalnego wykonywania tych umów. Jednym z następstw tego komunikatu było rozpoczęcie rozmów w Moskwie, w połowie grudnia, mających na celu intensyfikację wymiany handlowej, która w tymże roku była najmniejsza w całym okresie między wojnami. Nie dokonano jednak jakiegoś przełomu i stosunki wzajemne były jakby jednostronne, tzn. Polska utrzymywała ambasadę w Moskwie w pełnej obsadzie oraz konsulaty w Leningradzie, Kijowie i Mińsku, a Związek Radziecki utrzymywał prawie pustą ambasadę w Warszawie, konsulat we Lwowie oraz w Gdańsku.

Warto w tym miejscu przytoczyć opinię płk. Becka o stosunkach polsko-radzieckich i jego ocenę pozycji ZSRR, odnotowaną w „Ostatnim raporcie" (Warszawa 1987, s. 166-7), przy czym trzeba zrobić zastrzeżenie, że jest to tekst spisany w październiku 1939 r., a więc ex post. Pamiętnik zaś polityczny, o czym trzeba wiedzieć, może posłużyć do zamierzonego kłamstwa, przemilczenia, przeinaczenia, albo utrwalać treści już słabo zapamiętane przez autora, co wszystko razem nie wyklucza, że może też być źródłem rzetelnych informacji i przybliżać prawdę czasu minionego, czasu dokonanego.

Pisze płk Beck: „W sytuacji, którą zastałem w pierwszych dniach kwietnia w Londynie, sądziłem, że najpraktyczniej będzie zająć stanowisko, które zostało sprecyzowane w protokołach moich rozmów z Chamberlainem. W skrócie wyglądało ono w ten sposób: Nie mamy, my Polacy, zaufania do Rosji ani do celów jej polityki. Widzimy na podstawie doświadczenia dwa imperializmy: «carski» lub komuny. W praktyce, jeśli chodzi o nasze sprawy, wychodzi to prawie na to samo. Rozumiem natomiast, że w obliczu zagrożenia niemieckiego nie ma żadnego interesu zniechęcania Rosji i lepiej zabezpieczyć jej przynajmniej neutralne stanowisko. Nie wierzymy w sowieckie zaangażowanie à fond [fr. gruntowne, rzeczywiste — MW] po stronie naszych aliantów i naszej. Pragnęlibyśmy, ażeby ten czynnik nie grał jako wrogi. Z naszej strony mając na uwadze zarówno ostatnią szansę uniknięcia wojny z Niemcami, jak też ostrożność nakazaną przez doświadczenia, wykorzystaliśmy po należało połączyć oraz interesów sprzecznych, jakie należało uzgodnić. Minister Beck wierzył, że zdołał już stworzyć tego rodzaju system przez swoje układy ze Związkiem Radzieckim i Rzeszą oraz przez sojusze z Francją i Rumunią.

«Dokonując tego dzieła — mówił mi minister — dałem dowód nie tylko patriotyzmu, ale również całkowitej bezstronności. Toteż oskarżanie mnie zarówno o rusofobię, jak i germanofilstwo, jest niesprawiedliwe. Nigdy nie uprawiałem polityki wrogiej wobec Związku Radzieckiego. Ale znam Rosję i nigdy w stosunku do niej nie pozwoliłem sobie kierować się złudzeniami Zachodu. Narody zachodnie zupełnie nie rozumieją Rosji Radzieckiej, tak jak nie rozumiały Rosji carskiej. Wpadają z jednej ostateczności w drugą i prowadzą politykę coraz to inną i sprzeczną. Francuzi i Anglicy przerzucili się od polityki kordonu sanitarnego do polityki paktów wzajemnej pomocy. Niemcy odwrotnie: w Rapallo związali się z Moskwą najściślejszymi więzami ekonomicznymi i politycznymi, a dzisiaj montują przeciw Związkowi Radzieckiemu pakt antykominternowski. Co do mnie, to nigdy nie pozwalałem sobie na tego rodzaju skrajności. Żyjemy zbyt blisko Rosjan, żebyśmy ich mogli nie znać. Toteż nigdy nie pójdziemy krętą drogą. Żadnego paktu antykominternowskiego! Nie mam zamiaru ani propagować zasad Trzeciej Międzynarodówki, ani zwalczać jej oficjalnie. Dla mnie istnieje jedynie państwo radzieckie. Gdy byłem w Moskwie, nie złożyłem wizyty Stalinowi. Ten człowiek, chociaż w istocie wszechmocny, nie ma przecież żadnej funkcji oficjalnej, jest tylko sekretarzem partii. Zarówno pakty wzajemnej pomocy, jak i pakty antykominternowskie mają tę samą wadę: do Europy i mieszają ją w sprawy naszego kontynentu. Przeciwnie pakty o nieagresji, utrzymują ją w jej granicach. W ten sposób pojmuję bezpieczeństwo. Po kryzysie z września ubiegłego roku (układ w Monachium) nasze kontakty z Rosją były napięte. Zależało mi na przywróceniu dawnej sytuacji, to jest status quo w naszych stosunkach. Zbliżenie, jakiego w tym celu dokonałem, nie oznaczało bynajmniej jakiejś nowej postawy w stosunku do Niemiec: było tylko przywróceniem równowagi koniecznej do zachowania naszej niepodległości. W tym ściśle określonym celu postarałem się polepszyć z Rosją nasze stosunki ekonomiczne. Rezultaty tych starań, które mnie zresztą interesują wyłącznie z politycznego punktu widzenia, są zadowalające»".

Powyższe wynurzenia, zwłaszcza te, które utrwalił G. Gafencu, ukazują myśl polityczną płk. Becka bardzo wyraźnie i stanowią dane warte uwagi dla oceny wizyty W. Potiomkina w Warszawie i jego tu rozmów.

CIŁE poświęciłem dotąd dużo uwagi „kontekstowi polskiemu" tych rozmów, godzi się teraz wspomnieć o radzieckich zamierzeniach związanych z podróżą dyplomatyczną Potiomkina, zwłaszcza że wypadła w czasie zasadniczych zmian personalnych w Ludowym Komisariacie Spraw Zagranicznych i w okresie reorientacji radzieckiej polityki zagranicznej, czego wyrazem było chociażby przybycie Potiomkina do Warszawy.

Przypomnieć w tym miejscu wypada, że po „tygodniu agresji" pomiędzy 15 a 23 marca, gwałtownym zaostrzeniu stosunków polsko-niemieckich, brytyjsko-francuskich tzw. gwarancji dla Polski 31 marca, agresji Włoch na Albanię 7 kwietnia i w rezultacie napięcia na Bałkanach, „łagodzonego" podobnymi jak dla Polski gwarancjami Zachodu dla Rumunii i Grecji, w Moskwie dostrzeżono realne zagrożenie dla ZSRR przez przybliżanie się ognisk napięć ku radzieckim granicom. Stąd „peregrynacja" Potiomkina najpierw do Ankary, następnie do Sofii, Bukaresztu — stąd wyjazd do Warszawy i ponowne rozmowy w Bukareszcie, gdzie powrócił był G. Gafencu z podobnego objazdu, ale stolic Europy zachodniej.

Niemal pośrodku tej podróży Potiomkina odwołany został ze stanowiska komisarza spraw zagranicznych Maksym M. Litwinow (zatrudniony w tym resorcie od 1921 r. jako wicekomisarz, od 1930 r. komisarz do 3 maja 1939 r.; był w Polsce w 1922 r., 5 maja 1934 r. podpisał w Moskwie przedłużenie o 10 lat paktu o nieagresji z Polską zawartego 25 lipca 1932 r.), a tę tekę ministerialną ujął premier Wiaczesław M. Mołotow (w l. 1930—1941 premier, 1939—1949 minister spraw zagranicznych i ponownie w l. 1953—1957) jednocześnie członek Biura Politycznego KC Partii Bolszewików. Potiomkin więc otrzymał w trakcie podróży dyplomatycznej nowe wytyczne, od nowego szefa, którym po raz pierwszy był tej rangi funkcjonariusz państwowy i partyjny zarazem.

Z tak zarysowanego bogactwa wątków dyplomatyczno-historycznych wybrać trzeba tylko te, który tyczą wizyty Potiomkina w Warszawie, gdzie przybył wieczorem 9 maja. Na drugi dzień rozpoczął rozmowy z płk. Beckiem, ten zaś pozostawił taką relację („Ostatni raport", s. 171-2):

„Pragnąc pójść na rękę polityce aliantów i dążąc w ramach naszych politycznych możliwości do zapewnienia sobie frontu wschodniego w razie konfliktu z Niemcami, wyraziłem dyskretnie chęć spotkania z Potiomkinem. Inicjatywa ta została żywo przyjęta i Potiomkin odwiedził mnie w Warszawie dnia 10 maja.

Rozmowa trwała półtorej godziny. Stwierdziłem, że Potiomkin, który przybył poprzedniego wieczora, długo w nocy rozmawiał telefonicznie z Moskwą. Wynik naszej rozmowy można było streścić w sposób następujący: z mojej strony stwierdziłem, że mam wrażenie, iż szereg szeroko rozszerzonych po świecie pogłosek o jakichkolwiek naszych umowach z Niemcami co do wspólnej akcji przeciw Sowietom został przez bieg wypadków kategorycznie zdementowany. Wyraziłem przekonanie, że w ten sposób odpadły przeszkody na drodze do kształtowania naszego dobrego sąsiedztwa nie tylko według litery, ale i według ducha naszego układu z 1932 roku. Oświadczenie to podkreśliłem stwierdzeniem, że żadna poważna akcja zbrojna przeciw Sowietom w Europie nie jest możliwa bez naszego udziału. A zatem bezpieczeństwu Sowietów nic nie grozi z chwilą, kiedy w stosunku do nich Rząd Polski takich intencji nie żywił. Potiomkin bardzo gorąco podkreślił znaczenie tego faktu i stwierdził, że całkowicie podziela mój pogląd co do interesu, jaki mają Sowiety w stanowisku Polski. Oświadczył mi, powołując się na upoważnienie swego rządu, że gdyby Polska stała się obiektem napaści z zachodu, to liczyć może na całkowitą życzliwość ze strony Związku Sowieckiego. Zrobił nawet aluzję, że może kiedyś trzeba będzie szerzej o tym pomówić. Zakończyliśmy rozmowę stwierdzeniem, że najlepiej byłoby utrzymać pokój, ale w razie gdyby ktoś ten pokój chciał naruszyć, to wszyscy inni mają wspólny interes w niedopuszczeniu do tego, aby metody agresywne miały decydować o przyszłości Europy".

Dokończenie na str. 13

TAKI WSCHODNI „RENAULT"

Dokończenie ze str. 1

AZŁK 2141, ale zdecydowanie na ziemi, a nie w powietrzu. Odczekawszy swoje, dyrektor dodaje od niechcenia, że dzierżawią część lotniska na magazyny i parkingi. Czyli: jednak na ziemi. „Moskwiczami" jeszcze w Białymstoku nie latają.

Pierwsze wrażenie jest bardzo dobre. Z daleka przód pojazdu przypomina „Renaulta 18", niektórym myli się z „Mitsubishi". Wynik tej stylizacji staje się bardziej jasny, gdy słyszę o tym, że Francuzi mieli dostarczyć zarówno design nadwozia, jak też jednostkę napędową. Coś tam nie do końca wyszło i została tylko linia, zresztą też pozmieniana. Natomiast silnik i skrzynia biegów zostały wzięte z „Łady 2106" i przystosowane do napędu na przednie koła. Już w Lublinie taksówkarz z Wilna, uroczy pan Anatol, Polak naturalnie, mówił mi, że od niedawna „Moskwicze" wyposażane są w silnik produkowany w Moskwie a nie w Togliatti. Jednak na rynku zdecydowanie bardziej cenią wersję z silnikiem ładowskim.

Chcąc kupić to cudo, trzeba wyłożyć 28—30 tysięcy rubli, co stanowi „przebicie" ceny oficjalnej o dobre 120%. Za „Moskwiczem" ludzie się zabijają i uchodzi on w ZSRR za bardziej udane „dziecko" niż „Łada-Samara".

Nim przejdziemy do bliższych szczegółów proponuję lekturę tabeli, porównującej podstawowe parametry „Łady 2107/1500", „Łady 2108/1300 Samary" i „Moskwicza AZŁK 2141/1600". Trzech najlepszych obecnie samochodów radzieckich.

Pierwszy rzut oka na te dane pozwala na refleksję, że „Moskwicz" jest największym z prezentowanej trójki, wyposażonym w najsilniejszą jednostkę napędową, przy czym wcale nie najgorszym, jeżeli idzie o ekonomikę eksploatacyjną. Nie jest najbardziej „dynamicznym" pojazdem, bo tu pierwszeństwo trzeba przyznać „Samarze", posiadającej znakomite przyspieszenie oraz relatywnie dużą moc silnika w stosunku do jego pojemności. Porównanie jednak mocy w stosunku do masy wypada korzystniej dla „Moskwicza". Nie jest na pewno zbyt ekonomiczny w jeździe miejskiej, lecz lepszy od „Łady 2107". Zachęcająco wygląda jednak zużycie paliwa w trasie, gdzie „Moskwicz" pali niemal tyle samo co „Samara", mając silnik większy o 276 ccm. Kojarząc to teraz z rozmiarami pojazdu, łatwo o konstatację, że jest lepszy do podróżowania i wygodniejszy, bo większy.

SKOŃCZMY jednak z teoretyzowaniem. Już otwarcie przednich drzwi pojazdu zachęca, bo ich uchył jest bardzo duży i może bez konieczności czynienia akrobatycznych figur wsiąść za kierownicę mężczyzna postury Bogdana Ostapko, mego cicerone. Faceta o posturze koszykarza, a w Białymstoku najbardziej obeznanego z nowym „Moskwiczem". Mężczyzna prawie dwumetrowego wzrostu może zasiąść swobodnie i bez konieczności garbienia się czy podkurczania nóg prowadzić ten samochód. Fotel kierowcy naturalnie musi być wtedy odsunięty maksymalnie do tyłu, ale to nie oznacza, że już za nim nikt nie usiądzie.

Tablica wskaźników jest w „Moskwiczu" plastykowa. Odnosi się wrażenie, że jest to jednak tworzywo zbyt twarde. Wskaźniki podstawowych parametrów są zblokowane i pokazują kolejno: ładowanie, temperaturę, obroty, szybkość i poziom paliwa. Wszystkie są wskazówkowe, ale dobrze czytelne. W „Samarze" — więcej elektroniki. Osobno umieszczone są świetlne kontrolki kierunkowskazów i świateł oraz sygnalizator hamulca ręcznego. Kierownica plastykowa, z miękkiego tworzywa, ale zbyt cienka. Wielkość identyczna jak w „Samarze", czyli mniejsza niż w „Ładzie 2107". Przy kierownicy dwie dźwignie przełącznikowe. Lewa: kierunkowskazy, zmiana świateł z drogowych na mijania. Prawa: funkcje wycieraczek przedniej i tylnej szyby wraz z ich spryskiwaniem. Praktycznie bez odrywania dłoni od tej dźwigni można operować umieszczonymi blisko na tablicy przełącznikami świateł mijania, świateł awaryjnych, pozycyjnych, ogrzewania. Na konsolce obok dźwigni zmiany biegów — regulacja nawiewu powietrza ciepłego i zimnego: jego siły, temperatury i kierunku (na szyby i wnętrze). Również z prawej strony kolumny kierowniczej umieszczona jest stacyjka. Dźwignia zmiany biegów — bardzo wygodna w użyciu, masywna, krótka.

Siedząc za kierownicą i sposobiąc się do ruszenia, łatwo daje się poustawiać z wnętrza kabiny lusterka zewnętrzne. Również to wewnętrzne wydaje się być bardziej funkcjonalne niż w „Samarze", m. in. dlatego, że nie jest klejone do przedniej szyby, a mocowane tradycyjnie do sufitu.

Wygodniejsze niż w „Ładach" są fotele. Głębsze, obszerniejsze, o płynnej regulacji położenia. Siedzi się w nich równie wygodnie jak w „Polonezie". Lepsza niż w „Ładach" (zwłaszcza dotyczy to „Samary") jest tapicerka. W „Moskwiczu" dominuje elastyczny skaj

Parametry	„Łada 2107/ 1500"	„Łada 2108/ 1300 Samara"	„Moskwicz AZŁK 2141/ 1600"
Długość	4136 mm	4006 mm	4350 mm
Szerokość	1820 mm	1620 mm	1690 mm
Wysokość	1435 mm	1400 mm	1400 mm
Masa własna	1030 kg	945 kg	950 kg
Szybkość max.	152 km/h	148 km/h	155 km/h
Pojemność baku	39 l	43 l	59 l
Zużycie paliwa			
90 km/h	7,5 l	6,0 l	6,2 l
120 km/h	10,4 l	8,1 l	8,4 l
Miasto	10,5 l	7,9 l	9,3 l
Pojemność siln.	1452 ccm	1294 ccm	1570 ccm
Moc silnika	54,4 KW (74 KM)	47,5 KW (65 KM)	57,4 KW (78 KM)

SZPIEG REAGANA

Dokończenie ze str. 1

Gdzieś koło południa przyjechało dwóch młodych esbeków. Zabrali mnie na Okopową do budynku prokuratury. Tu spotkała mnie pierwsza miła niespodzianka. Na schodach czekała żona. Patrzyliśmy na siebie nie mogąc wydobyć głosu. Oczy jej się zaszkliły, a ja poczułem, że nogi mam jak z waty. Oboje sililiśmy się na spokój, aby nie dać satysfakcji tym, którzy mnie pilnowali. Pozwolono nam przez chwilę porozmawiać. Dowiedziałem się, że w domu przeprowadzono rewizję. Wcześniej jednak żona zdążyła „oczyścić" mieszkanie z „bibuły", ulotek i prasy „solidarnościowej". Toteż kiedy przyszli milicjanci, znaleźli tylko moją legitymację związkową i partyjną, nad którą długo kiwali głowami.

Pierwsze przesłuchanie u prokuratora. Znowu z uporem Don Kichota usiłowałem wyłuszczyć swoje racje. Przecież nic takiego, do cholery, nie zrobiłem. W rozmowie powoływałem się na dość znany felieton z „Polityki": „Siedzę okrakiem na barykadzie". Przytaczał tam Passent racje obu stron. Próbowałem zrobić to samo. Mówiłem chyba z godzinę. Prokurator wysłuchał mnie i na koniec naszej rozmowy oświadczył, że jestem oskarżony o zorganizowanie i kierowanie strajkiem. Zamurowało mnie. No bo jak? Sam zorganizowałem strajk, sam nim kierowałem i na dodatek byłem jego jednoosobowym uczestnikiem? Spytałem prokuratora, czy naprawdę wierzy w to, co mówi? Odpowiedzi nie było. Ci sami „cywile" odstawili mnie na Północną. Przesiedziałem jeszcze dwa dni.

◆

W poniedziałek rano, wraz z kilkoma innymi więźniami, przewieziono nas „lodówką" na Południową. Tu było niemal luksusowo. Wprawdzie cele tak samo ciasne z [illegible] łóżkami poustawianymi w dwa rzędy, ale za to w kącie stała umywalka z bieżącą wodą i skanalizowany sedes. Po raz pierwszy od trzech dni mogłem się nareszcie umyć mydłem i wytrzeć prawdziwym ręcznikiem.

W celi siedziało nas sześciu. Pięciu z „dekretu", a jeden za jakieś historie finansowe. Zapamiętałem siedemnastoletniego chłopaka z Piask który po wypiciu wina spalił czerwoną flagę. Dołożyli mu półtora roku. Nie rozpaczał. Znacznie lepiej od nas znosił więzienne warunki. Był młody, nie miał rodziny. Wyrok przyjął jak dopust Boży. Młodego mężczyznę z Puław oskarżyli o kolportaż nielegalnej prasy. Miał pecha. Wychodził z domu z paczką „bibuły", kiedy zwinęło go SB. Tłumaczył się później, że paczkę znalazł pod drzwiami i właśnie szedł na milicję, aby ją oddać. Nie uwierzyli. Dostał rok. Gdyby się przyznał, twierdził, dołożyliby mu znacznie więcej. Dopiero na Południowej uświadomiono mi, że nie wolno się do niczego przyznawać. „Oni" i tak z góry wszystko przesądzili. Przyznanie się do czegokolwiek oznacza tylko większy wyrok, a uczciwość i moralność można sobie schować dla przyjaciół.

Po dwóch czy trzech tygodniach odbyła się pierwsza rozprawa w trybie doraźnym przed Sądem Wojewódzkim w Lublinie. Prokurator oskarżał mnie o zorganizowanie i kierowanie strajkiem. Na sali sądowej major-świadek nie potwierdził wcześniejszych zeznań. Właściwie to on miał tylko wrażenie, iż ja prowadzę akcję strajkową. Drugi ze świadków oskarżenia, pracownik Urzędu Miasta w Il, dość mętnie przedstawił całe wydarzenie. Pozostali świadkowie niczego nie widzieli. Wróciłem na Południową w dobrym nastroju. W celi stwierdzono, że sprawa jest czysta i mogę spać spokojnie.

Za tydzień odbyła się kolejna rozprawa. Rano, jak wychodziłem z celi do sądu, wszyscy podali mi rękę na pożegnanie. Miałem tu więcej nie wracać.

Prokurator szalał. Krzyczał, że Polska Ludowa dała mi wykształcenie, mieszkanie, samochód, a ja okazałem się takim niewdzięcznikiem. Na co replikował mój obrońca, logicznie wywodząc, że jeżeli tylko dzięki socjalistycznej ojczyźnie ja jestem lekarzem, to również dzięki socjalistycznej ojczyźnie są złodzieje, prostytutki i bandyci. Wszyscy przecież mieliśmy jednakowy start w tym socjaliźmie. Ja, pouczony już przez współwięźniów, nie przyznawałem się do niczego, a przerwę w pracy tłumaczyłem chęcią zapalenia papierosa. Wysłuchawszy obu stron sędzia ogłosił wyrok. Po pierwsze: odstąpiono od trybu doraźnego (tu wyroki zaczynały się od trzech lat w górę). Po drugie: prokurator nie udowodnił zarzucanych mi czynów. Odetchnąłem z ulgą. I po trzecie: zostałem skazany na półtora roku więzienia za niezaprzestanie działalności związkowej w stanie wojennym.

Kraty stanęły mi przed oczami. Mój obrońca stwierdził, że składa odwołanie do Sądu Najwyższego. W związku z tym wnosi o odstąpienie od środka zapobiegawczego, abym mógł odpowiadać z wolnej stopy. Sędzia oświadczył, że — ze względu na znaczną społeczną szkodliwość czynu — nie może się na to zgodzić. Dodał jeszcze, że wyrok został oparty na moich zeznaniach w śledztwie, co było oczywiście niezgodne z prawem. W ten sposób Temida pokazała swoje prawdziwe oblicze.

W celi ludzie pootwierali oczy ze zdziwienia. Ale w późniejszej rozmowie doszliśmy do wniosku, że w postępowaniu sądów w owym czasie była pewna logika. Z reguły znacznie niższe wyroki dostawali robotnicy, kiedy natomiast dopadnięto kogoś z inteligencji, to dawano już dobrze popalić. Głośnym echem odbiła się wtedy sprawa kobiety z Gdańska, która za „bibułę" dostała 7 lat.

◆

Po trzech dniach ruszyliśmy „w tabor". Część z nas trafiła do Chełma, a reszta, w tym i ja, do Hrubieszowa. Ludzie, którzy siedzieli tu od początku „wojny", opowiadali, że ich pobyt zaczynał się od „ścieżki zdrowia". To znaczy trzeba było przejść pomiędzy ustawionymi w dwa rzędy klawiszami, którzy bili bez opamiętania. Nas jednak tylko wykąpali, ostrzygli, zabrali cywilne ubrania i dali więzienne ciuchy. Najważniejsza była „kaniołka", taka szara aresztancka furażerka.

Razem z nami, tyle, że w oddzielnym bloku, siedzieli zwykli więźniowie. Nigdy jednak nie spotkała nas żadna przykrość z ich strony. Traktowali nas chłodno, ale z szacunkiem, wspominając, że to właśnie dzięki „Solidarności" są mniej bici i nareszcie dostają biały chleb zamiast czarnych trocin.

Natomiast klawisze byli różni. Pamiętam takiego starszego pana, którego wszyscy nazywali dziadkiem. Uczynny, cichy, odnoszący się do nas bez cienia złośliwości. Kiedyś, gdy siedział na „kogucie" (wieża strażnicza), włączył swoje radio na pełny regulator, ustawiając je wcześniej na odbiór „Waszyngtonu". To była dopiero gratka! Mieliśmy wiadomości z pierwszej ręki. Byli też i tacy, którzy zrywali ze ścian celi i deptali wszelkie oznaki kultu religijnego. Nigdy jednak nie zdarzyło się, aby klawisze pobili któregoś z „politycznych". Nas próbowali wykańczać psychicznie, strasząc wywózką na „białe niedźwiedzie". Dzisiaj to brzmi śmiesznie, ale wtedy taka informacja działała jak prąd elektryczny. Tym bardziej, że codziennie słyszeliśmy odgłos przejeżdżających pociągów.

Na ile było to możliwe, staraliśmy się bojkotować zarządzenia władz więziennych. Cały czas zresztą domagaliśmy się przyznania nam statusu więźniów politycznych, czego nie odmawiano przedwojennym komunistom w Polsce. Żądaliśmy nieograniczonego dostępu do prasy (dostawaliśmy „Trybunę Ludu" i „Żołnierza Wolności") i swobody w kontaktach między celami. Nikt nie chciał z nami rozmawiać. Rozpoczęliśmy protest głodowy. Przez pierwsze dwa czy trzy dni nie zwracano na nas uwagi, a wychowawcy oświadczyli, że to żadna głodówka, bo mamy swoje jedzenie. Zebraliśmy zatem wszystkie zapasy i wystawiliśmy na korytarz, w dalszym ciągu nie przyjmując więziennych posiłków. Chyba po pięciu dniach przyjechała specjalna komisja z zarządu penitencjarnego. Po rozmowach rozszerzono nam dostęp do gazet, pozwolono na posiadanie własnych przyrządów do golenia, noży. Zwiększono ilość czasu spędzanego na świeżym powietrzu, co w warunkach więziennej duchoty było bardzo ważne.

Po dziewięciu dniach głodówki władze zakładu karnego zaczęły stosować przymusowe karmienie przy pomocy sondy. Doświadczyli tego nieliczni. Większość przerwała głodówkę, biorąc pod uwagę fakt, że część spraw wywalczyliśmy, a przyznanie nam statusu więźniów politycznych i tak nie leży w kompetencjach tej komisji. Po zakończeniu strajku głodowego w niektórych celach urządzono sobie wyżer-

i miękki plastyk, natomiast w „Samarze" — duże powierzchnie twardego plastyku, grzechocące w czasie jazdy (zwłaszcza po nierównościach). Również wygodniejsze są tylne siedzenia pasażerów. Oczywiście są one składane. Bagażnik większy niż w „siódemce" i „Samarze".

Przed ruszeniem zajrzyjmy pod maskę. Otwiera się ona „na" przednią szybę, czyli inaczej niż w modelu 2107. Pierwsze, co zwraca uwagę, to nietypowe umieszczenie chłodnicy, tuż przy lewym błotniku, zupełnie z boku. Nie wydaje się to szczególnie udanym rozwiązaniem, bo każde uderzenie w lewy błotnik rodzi zagrożenie uszkodzenia. Akumulator z kolei usytuowany jest bardzo nisko przy prawym błotniku. Silnik umieszczony podłużnie. Znakomity dostęp do świec, filtrów, alternatora, rozrusznika. Pod tym względem — też plus dla samochodu moskiewskiego.

Kiedy wyjeżdżamy z terenu białostockiego lotniska i trzeba pokonać odcinek gorszej drogi leśnej, daje się zauważyć bardzo dobra amortyzacja. Zawieszenie nie jest tak „twarde" jak w „Samarze". Potem potwierdzi się to również w jeździe po mieście. Na gorszych odcinkach nawierzchni, gdy „Samara" — wedle słów p. Bogdana Ostapki — fruwa i skacze, „Moskwicz" idzie znacznie spokojniej.

Jeździłem „Moskwiczem" i w trasie, i po mieście. Trudno byłoby powiedzieć, że jest on samochodem o dobrym przyśpieszeniu w ruchu ulicznym. Tu „Samara" zdaje się nie mieć sobie równych, jeżeli idzie o samochody produkcji socjalistycznej. Z kolei „Moskwicz" lepszy jest w trasie. Największa szybkość z jaką jechaliśmy, to 145 km/h. Samochód zachowywał się normalnie, nie odczuwało się wibracji czy nadmiernego „zmęczenia". Niewątpliwym udogodnieniem w tej jeździe jest piąty bieg, znakomicie ekonomizujący jazdę na większych prędkościach.

Równoważąc niejako zastrzeżenia do przyspieszania „Moskwicza" na niskich biegach, co jest ważne w mieście, trzeba powiedzieć, że poza miastem, kiedy przychodziło wyprzedzać inne samochody, pojazd moskiewski spisywał się bardzo dobrze. Przy redukcji z czwartego na trzeci bieg „odejście" miał — jak komentował pan Bogdan — odrzutowe.

SUMUJĄC wrażenia nowy model Awtomobilnowo Zawoda Leninskowo Komsomoła (stąd AZŁK) w Moskwie wydaje się być ciekawą propozycją na rynku motoryzacyjnym. Nie jest on na pewno tej klasy pojazdem co „Renault", który użyczył mu sylwetki. Jest — samochodem godnym polecenia. Zapewne będzie jednak dostępny tylko za dewizy.

Przygoda z „Moskwiczem" skłania jednak do innej refleksji. Otóż w czasie, kiedy u nas trwa radosne tokowanie na temat świetlanej przyszłości przemysłu motoryzacyjnego i festiwal telewizyjny pana Angeli, prezentującego nienaganne maniery i eleganckie garnitury, Rosjanie po prostu coś robią. Nie gadają, a właśnie — robią. Modele „Ład" 2108 i 2109 („Samara" w wersji trzy- i pięciodrzwiowej). „Moskwicze" czy nowy „Zaporożec" z silnikiem około 750 ccm i pięknej linii nadwozia — są faktami. Faktami, których nam brakuje.

Naturalnie podnieca mnie perspektywa życia w kraju, który produkuje 600 tysięcy jednego modelu pojazdu rocznie. Póki jednak to nie nastąpi, po prostu zazdroszczę Rosjanom.

Waldemar Piasecki

PS. Dopełniając wymogów savoir vivre, serdecznie dziękuję dyrektorowi Eugeniuszowi Truszkowskiemu, który zaryzykował oddanie mi na dzień „Moskwicza AZŁK 2141" oraz Bogdanowi Ostapko, który cierpliwie towarzyszył mi w objeździe.

---

kę, *co skończyło się* jedną wielką sraczką, a ja po dziewięciu dniach „postu" nabawiłem się choroby wrzodowej, która dręczy mnie jeszcze dzisiaj.

Starszym naszej celi był pan Bronisław. Niezwykły człowiek i dusza całego więzienia. Miał już dobrze po sześćdziesiątce, ale pomysłów i energii wystarczało mu za kilku młodych. Z wykształcenia był inżynierem, pracującym gdzieś pod Krosnem w zakładach produkujących urządzenia wiertnicze. Ten wspaniały staruszek prowadził z władzami więziennymi swoją prywatną wojnę szwejkową. Po aresztowaniu w zimie (odsiadywał kilkuletni wyrok) jechał kilkanaście godzin nie ogrzewanym samochodem. Napisał więc do komendanta więzienia, że w trakcie przewożenia kibitką przeziębił się i z tego powodu ma teraz kłopoty ze zdrowiem. Żąda zatem od władz odszkodowania finansowego. Kiedy zwrócono mu uwagę, że pewnie wieziono go radiowozem, a nie kibitką, pan Bronisław zaprzeczył, twierdząc stanowczo, iż dobrze wie, czym jechał. Matka mu zawsze mówiła, że jak ktoś walczył za Polskę, to wywożono go kibitką.

Codziennie wieczorem odbywał się obchód. Oficer dyżurny i dwóch klawiszy. Otwierali drzwi i wtedy należało stanąć na baczność, a starszy celi miał obowiązek zameldować stan osobowy. Oczywiście nikt z nas nie stosował się do tego przepisu, co niezmiernie denerwowało władze więzienne. Kiedyś zastępca komendanta chciał całą sprawę załatwić polubownie. Prosi więc pana Bronisława: „Co panu szkodzi zameldować. Przecież to żaden problem". Na co pan Bronisław twierdzi, że on się na tym nie zna, nie umie, a w ogóle nie wie, o co chodzi. Komendant dalej nalega, tłumaczy, że przecież wystarczy powiedzieć: obywatelu — tu wymienić stopień — starszy celi melduje celę taką a taką — stan tylu i tylu. Koniec. Pan Bronisław robi głupkowatą minę i cedzi przez zęby, że tego może by się i nauczył, ale na stopniach w więzieniu to on się nie zna. Komendant, przyjmując za dobrą monetę jego słowa, cierpliwie wyjaśnia, że stopnie są tutaj takie jak w wojsku. Staruszek kręci przecząco głową i z uśmiechem na twarzy odpowiada, iż w wolnej Polsce to on się na wojsku znał. Ale teraz?...

Wieczorami lubiliśmy w oknach cel śpiewać różne piosenki, które nigdy nie podobały się władzom więziennym. Ot choćby taka: „Zielona wrona, dziób w wężyk szamerowany, kto nie da drapaka, kto nie chce zakrakać, ten będzie internowany". W trakcie jednego z takich koncertów służba więzienna zaczęła lać wodą po oknach. Następnego dnia pan Bronisław złożył pisemną skargę u komendanta, w której twierdził, że zwyrodniali dozorcy oblali mu wodą suszącą się na oknie cebulę. Z tego powodu narażony jest teraz na szkorbut. Doszło do tego, że zawieszono mu odbywanie kary na podstawie fikcyjnego zaświadczenia o złym stanie zdrowia. Jego niespożyta energia, humor, pozwalały nam przetrwać, nie dać się wykończyć psychicznie. Zapomnieć, choćby na chwilę, że każdy z nas zostawił dom, rodzinę, znajomych i siedzi tutaj tylko dlatego, iż odważył się inaczej myśleć.

W więzieniu odwiedzała mnie regularnie żona. Od niej dowiedziałem się o ofiarności ludzi, którzy cały czas pomagali jej finansowo, robiąc comiesięczną zrzutkę na moje pobory. Czy potrafię im się kiedyś odwdzięczyć?

◆

W trakcie mojego kilkumiesięcznego pobytu w więzieniu odbyła się rozprawa przed Sądem Najwyższym. Skład sędziowski wydał orzeczenie o odstąpieniu od środka zapobiegawczego i skierował sprawę do ponownego rozpatrzenia w Sądzie Wojewódzkim ze względu, jak to określono, na liczne uchybienia i proceduralne nieścisłości. Po sześciu miesiącach znowu byłem w domu. Dzięki nieżyjącemu już dyrektorowi szpitala wróciłem do pracy na poprzednich warunkach. Cała historia ciągnęła się jeszcze ponad pół roku. Po dwóch kolejnych rozprawach zapadł wyrok uniewinniający. Oficjalnie jestem więc niekarany.

Więzienie i stan wojenny nie stały się dla mnie mitem. Nie czuję się z tego powodu napiętnowany świętością. Nie obnoszę się z tym, jak z wiecznie niezabliźnioną raną. Wie pan, w człowieku po latach włącza się mechanizm obronny, który pozwala pamiętać tylko rzeczy dobre. Przez te pół roku wiele się nauczyłem, zrozumiałem, a — co najważniejsze — nie poszło to na marne. Jak pan widzi, dziś znaczek „Solidarności" noszę bez obawy, że znowu zamkną mnie w więzieniu.

Notował:
Zbigniew Dzięciołek

WŁADIMIR POTIOMKIN W WARSZAWIE

Dokończenie ze str. 11

NIEWIELE tu można dodać do tak rzeczowego sprawozdania, które także nasuwa refleksję o osobistej, bezpośredniej dyplomacji stron nawet tak zasadniczo różnych jak wspomniani rozmówcy. Racja stanu państw, które reprezentowali i nadrzędność sprawy pokoju wraz z poczuciem odpowiedzialności i rzetelności negocjatorów, pozwoliły na rozjaśnienie sytuacji, określenie stanowisk i sprecyzowanie pozycji w rysujących się układach koalicyjnych.

Są to jednak uwagi zbyt jednostronne, bo wynikające z tekstu płk. Becka. A co o tych samych rozmowach przekazał Potiomkin swojemu kolejnemu partnerowi w podróży dyplomatycznej, min. Gafencu? Posłużmy się pamiętnikiem - relacją Gafencu („Ostatnie dni Europy", s. 109—110), gdzie nie brak nieco ogólniejszej refleksji dotyczącej sytuacji międzynarodowej obserwowanej tym razem z Bukaresztu:

„Zastępca komisarza pragnął mi zadać jedno tylko pytanie natury bardziej delikatnej, na temat sojuszu polsko-rumuńskiego. Czy traktat ten miał zagrać jedynie w wypadku agresji radzieekiej, czy też został ustalony erga omnes? [łac. wobec wszystkich — MW]. Odpowiedziałem prawdę, że tekst traktatu zawierał tylko ogólne sformułowania, ale konwencja wojskowa, jaka go uzupełniała, przewidywała jedynie ewentualność ataku radzieckiego. Nic jednak nie stało na przeszkodzie, żeby wziąć pod rozwagę inne możliwości i rząd rumuński był gotów rozszerzyć konwencje na wszystkie możliwe wypadki.

Potiomkin przyjął to do wiadomości. Zapewnił mnie, że Związek Radziecki wkrótce dostarczy jawnych dowodów swojej woli powszechnego porozumienia. Powiedział mi również, że zmiana, jaka nastąpiła w kierownictwie Komisariatu Ludowego Spraw Zagranicznych w Moskwie w czasie jego nieobecności, była wyłącznie sprawą personalną. Mołotow będzie prowadził dokładnie tę samą politykę co Litwinow. Instrukcje, jakie otrzymał od nowego szefa, i te, które otrzymał przed swoim wyjazdem, były identyczne. W Bukareszcie, tak jak w Ankarze, pobyt Potiomkina poprawił atmosferę. Zdawało się, że światło nadziei zabłysło od strony Moskwy.

Największego cudu miał dokonać zastępca komisarza w czasie pobytu w Warszawie. Jego uśmierzający czar podziałał na twardego pułkownika Becka. Pułkownik podzielił się swym zadowoleniem z ambasadorem Francji Noëlem.

»Po raz pierwszy od 1932 roku [— powiedział Beck] — miałem z przedstawicielem Związku Radzieckiego rozmowę wolną od nieufności. Pan Potiomkin doskonale zrozumiał polską politykę. Zrozumiał, że jeśli Polska odmawiała wzięcia udziału wraz ze Związkiem Radzieckim w jakimkolwiek systemie bezpieczeństwa, analogicznym do paktu wschodniego, to działo się to głównie ze względów ostrożności, względów, które są również ważne dla Moskwy. Zrozumiał też, że Polska nie przyłączy się do żadnej kombinacji w sensie odwrotnym«.

Potiomkin postawił Beckowi, tak jak mnie, pytanie na temat sojuszu polsko-rumuńskiego. Odpowiedź nie była taka sama. Beck nie godził się na żadne rozszerzenie zobowiązań wojskowych polsko-rumuńskich. Powoływał się na swoją politykę zachowywania względów wobec Węgier i chwalił się, że rozproszył również w tym punkcie wszelkie podejrzenia radzieckie. Według niego, doszedł do porozumienia ze swoim rozmówcą na temat «wspólnego zainteresowania Polski i Związku Radzieckiego w zachowaniu niepodległości państw bałtyckich». Beck był przekonany, że dając tego rodzaju zapewnienia, «Potiomkin działał ściśle według instrukcji, które otrzymał od swego nowego szefa».

Ogólne zadowolenie, wywołane podróżą Potiomkina, nie ograniczało się do jego rozmówców. Zastępca komisarza ludowego zdawał się podzielać radość, którą wywołał. Tak więc mówił do chargé d'affaires Francji w Moskwie, Payarta, o »korzystnym wrażeniu, jakie odniósł z rozmowy z p. Beckiem«. Ten ostatni musiał w końcu przyznać, że w wypadku ataku niemieckiego »Polska będzie siłą rzeczy związana ze Związkiem Radzieckim i zmuszona w takim wypadku do oparcia się na nim«.

Zadowolenie Potiomkina podzielał również Mołotow, który «wyraził się życzliwie o wypowiedzi Becka i podkreślił swoje zainteresowanie dla zabezpieczenia niepodległości Polski»".

SUMUJĄC powyższe, można z przekonaniem stwierdzić, że podróż Potiomkina na przełomie kwietnia i maja 1939 r. przyniosła zdecydowaną poprawę w stosunkach ZSRR z jego najbliższymi sąsiadami. Przyniosła odprężenie.

Było to szczególnie potrzebne Warszawie, zwłaszcza, że niemal natychmiast zostało potwierdzone przez moskiewską centralę decyzją przysłania ambasadora, bowiem w dwa tygodnie po powrocie Potiomkina zawitał w Warszawie Nikołaj I. Szaronow, człowiek młody (38 lat), a już desygnowany na samodzielne stanowisko w drugiej placówce zagranicznej. Jego wstępne wizyty u rządu polskiego zbiegły się w czasie z inauguracyjnym exposé Wiaczesława M. Mołotowa na sesji Rady Najwyższej III kadencji 31 maja 1939 r., w znacznej części przemówieniem programowym w zakresie polityki zagranicznej.

Nie wdając się w szczegóły, można stwierdzić, że Mołotow w zasadzie powtórzył oświadczenia Potiomkina składane w Bukareszcie i Warszawie (stąd powyżej ów „dwugłos" pamiętnikarski Beck — Gafencu), a różnica była tylko jedna: wypowiadał się minister spraw zagranicznych i premier zarazem. Ranga i doniosłość zapewnień o pokojowych intencjach Moskwy zostały z najwyższą uwagą przyjęte w Warszawie i analizowane. Do tego Mołotow eksponował w przemówieniu sprawę poprawy stosunków z Warszawą, a bardzo pozytywnie oceniał obustronnnie korzystną wymianę handlową i jej perspektywy (notabene Sejm RP 16 maja gładko ratyfikował układ handlowy z ZSRR), co potwierdzały złożone zamówienia radzieckie na dostawy towarów na III kwartał 1939 r.

Trzeba wspomnieć o dwukrotnym w tym czasie zaproszeniu na rozmowy ambasadora Grzybowskiego przez Mołotowa, co było dalszym krokiem wyraźnej normalizacji w stosunkach polsko-radzieckich. Wszystko to było bardzo pozytywnie przyjmowane przez stronę polską.

Skłaniały też do tego oświadczenia Szaronowa, który np. zapewniał min. Becka, a ten to opisał, że Mołotow „z dokładnością właściwą inżynierom" przestudiował parokrotnie raport Potiomkina o rozmowie z Beckiem, którą ocenił jako bardzo pozytywną i określającą te rozsądne ramy, jakie powinny istnieć w stosunkach polsko-sowieckich. Beck pisze: „Mołotow powiedział: »Ja właściwie bardzo dobrze rozumiem pułkownika Becka«. Rewanżując się, a było to w dwa dni po pierwszej mowie Mołotowa, odpowiedziałem, że ja jeszcze dobrze rozumiem Mołotowa" („Ostatni raport", s. 172).

Szaronow, wręczając 3 czerwca na Zamku listy uwierzytelniające prezydentowi Mościckiemu, złożył oświadczenie o wysoce dobrej woli i dążeniu do poprawy stosunków ze strony rządu, który reprezentuje. Dodajmy, że z dużą energią zajął się sprawami handlowymi i rzeczywiście doprowadził w krótkim czasie do wzrostu wymiany handlowej.

Wszystko to były następstwa zwrotu w polityce zagranicznej ZSRR, sterowanej od 4 maja 1939 r. przez W. M. Mołotowa. Od pierwszego dnia urzędowania organizował on nową ekipę, a dawni ludzie Litwinowa, nierzadko znakomici fachowcy, odchodzili z piętnem „wrogów ludu". Potiomkin personifikował ów zwrot polityczny, który dostrzegł wnikliwy Gafencu, pisząc, że „po podróży zastępcy komisarza w państwach Europy Wschodniej kwitły złudzenia, ostatnie — przed układem moskiewskim i wojną" (s. 110).

Mieczysław Wieliczko

OPOWIEŚĆ O UNICESTWIONYM ŚWIECIE

Andrzej Z. Kowalczyk

ZASTANAWIAŁEM się nad tym, czy to właśnie ja powinienem pisać o tej książce. Czy nie powinien tego uczynić ktoś o wiele ode mnie starszy. Ktoś, kto pamięta czasy i miejsca w książce owej opisane. Ktoś, kto mógłby, sięgając do własnych wspomnień, uzupełnić nieco relację autorki, rozszerzając tym samym wiedzę czytelnika. Tak zapewne byłoby lepiej. Atoli pokusa była zbyt silna: egzotyka. I dlatego odbyłem podróż w czasie. Za sprawą książki Róży Fiszman-Sznajdman „Mój Lublin".

Była to podróż do świata, którego nie ma już od bardzo dawna, który przestał istnieć 50 lat temu, zniszczony zgodnie z obłąkańczą ideą, eufemistycznie nazwaną „ostatecznym rozwiązaniem kwestii żydowskiej". Ale świat ten ożywa teraz na kartach książki.

„Mój Lublin" to opowieść o dzielnicy żydowskiej międzywojennego Lublina. O dniu powszednim i świątecznym jej mieszkańców. O ich radościach i troskach (tych ostatnich było oczywiście nieporównanie więcej). Opowieść egzotyczna... Ale jest coś, co uderza czytelnika podczas lektury tych wspomnień. To właśnie fakt, że tak wielu ludzi — mimo właśnie owych trosk, niekiedy skrajnej nędzy — zachowywało swą godność i człowieczeństwo. Nie chcę przez to powiedzieć, iż świat opisywany przez Różę Fiszman-Sznajdman uważam za idealny moralnie, ani też, że takim przedstawia go autorka. Zamieszkujący go ludzie byli tacy jak zawsze i wszędzie. To znaczy, iż nie brakowało tam oszustów, złodziei, nieuczciwych handlarzy. Ale tak jak zawsze i wszędzie, stanowili oni margines społeczeństwa. Powtórzmy — margines, wbrew stereotypom, które głoszą nierzadko, iż każdy Żyd to człowiek nieuczciwy, zachłanny, okradający chrześcijan itp.

To wszystko jednak są rzeczy oczywiste. Największa wartość książki polega na czymś innym. Na sposobie zaprezentowania dzielnicy żydowskiej. Pokazuje ją autorka nie tylko od strony ulicy. Nie ogranicza się do opisania jej — by tak rzec — publicznego oblicza. Co więcej — wkracza nie tylko na podwórza kamienic przy Lubartowskiej, Krawieckiej, Szerokiej, Jatecznej. Ona przekracza progi mieszkań. Pokazuje to, czego nie ma na fotografiach z owego czasu, to o czym rzadko się mówi i pisze. Anglicy mają takie słynne powiedzenie „My home is may castle" — „mój dom jest moim zamkiem". W najbardziej lapidarnej formie wyraża ono to, czym w swej istocie dom być powinien. Wyraża naturalną ludzką potrzebę intymności.

Mając w pamięci tę maksymę, zdałem sobie podczas lektury sprawę z różnicy skali: „Mój dom jest moim zamkiem", ale przecież nie w tamtych czasach. Wtedy potrzeba intymności sprowadzała się do marzenia o własnym łóżku.

Lublina Róży Fiszman-Sznajdman już nie ma. Nie można już przejść ulicą Jateczną, Krawiecką czy Zamkową. Nie można spotkać ludzi, którzy tam mieszkali. Ale przecież źle by się stało, gdyby nie istniała pamięć o nich. Bowiem są oni częścią naszej wspólnej historii, którą — nie chcąc popaść w barbarzyństwo — musimy szanować.

Róża Fiszman-Sznajdman, Mój Lublin, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1989, wyd. I, nakład 9700+300 egz., 79 ilustracji, cena 1200 zł.

Reprodukował Waldemar Stępień

Rozważania o muzyce

Sztuka transkrypcji

Mariusz Dubaj

OBECNIE modne są duety fortepianowe. Znany i ceniony w świecie polski zespół Marek i Wacek, po tragicznej śmierci Wacława Kisielewskiego, odrodził się i znów święci triumfy. Wacka zastąpił Michel. W roku ubiegłym mieliśmy okazję słyszeć Marka i Michela w Lublinie, w bieżącym zaś wystąpili oni w Filharmonii Narodowej, skąd radio i telewizja przeprowadziły retransmisję.

Zastanówmy się bliżej nad fenomenem tego typu zespołów. Otóż korzenie zjawiska tkwią w tradycji muzycznej i wiążą się z pojęciem transkrypcji, czyli umiejętności opracowywania cudzych utworów. Zmiany dotyczyć mogą zarówno treści muzycznej, jak i obsady wykonawczej.

Już w okresie baroku praktyka ta była szeroko rozpowszechniona. Dla przykładu koncerty instrumentalne J. S. Bacha są opracowaniami jego własnych kompozycji lub dzieł innych mistrzów. Romantyzm i lata późniejsze przyniosły prawdziwą eksplozję różnego rodzaju opracowań pieśni czy fragmentów oper. Mistrzem tego gatunku był m.in. F. Liszt.

W czasach dzisiejszych, w znacznym stopniu bazujących na dorobku artystycznym minionych epok, sztuka ta przeżywa renesans. Na czym polega istota współczesnych opracowań? Na prezentacji przebojów muzyki klasycznej, rzadziej rozrywkowej, w nowej szacie brzmieniowej. Poziom techniczny tych wersji bywa zwykle wysoki, choć nie nowatorski. Słuchacze są zaskakiwani odmiennością i bogactwem ujęcia znanych im melodii. Nie bez znaczenia są walory interpretacyjne.

Pierwotnym celem muzyków jest zwykle chęć grania ulubionych utworów dla własnej przyjemności, wtórnym zaś — komercja. Ludzie chętnie przychodzą na tego typu koncerty. Płyty rozchodzą się błyskawicznie. Ponadto jest to pośrednia droga do wzbudzenia zainteresowania słuchaczy wersjami oryginalnymi. Jednym słowem, wszyscy są zadowoleni.

Czasem tylko w samych muzykach budzą się wątpliwości, czy najlepiej służą oni prawdziwej sztuce i czy zmierzają ku arcydziełom. Ale to jest już sprawa sumienia artystycznego każdego z nich.

V KONKURS LITERACKI IM. J. I. KRASZEWSKIEGO

Klub Literacki „Maksyma" przy Klubie Kultury „Piast" w Białej Podlaskiej, Muzeum Biograficzne J. I. Kraszewskiego w Romanowie oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Białej Podlaskiej zapraszają autorów nieprofesjonalnych do wzięcia udziału w V Konkursie Literackim im. J. I. Kraszewskiego.

Konkurs organizowany jest w dwóch kategoriach: poezji i prozy. Należy przesłać zestaw wierszy (4 wiersze w trzech egzemplarzach) lub utwór prozatorski (20 stron w czterech egzemplarzach). Każdy utwór winien być opatrzony godłem, zaś w zaklejonej kopercie, opatrzonej tym samym godłem, należy przesłać następujące informacje: imię i nazwisko, godło, przynależność do klubów literackich, adres.

Przewidziane są następujące nagrody pieniężne (osobno za poezję i prozę): I — 30 tys. zł, II — 25 tys. zł, III — 20 tys. zł, wyróżnienia po 10 tys. zł oraz nagroda Grand Prix — 40 tys. zł. Przyznane będą również nagrody specjalne Klubu Literackiego „Maksyma": za tematykę podlaską, za utwory o tematyce społecznej, za dowolne utwory związane z J. I. Kraszewskim. Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Nadesłane teksty będą wykorzystane do publikacji w prasie. Przewiduje się także zamieszczenie nagrodzonych tekstów w wydawnictwach organizatorów bez dodatkowego honorarium. Prace nadsyłać można do 31 sierpnia 1989 r. pod adresem: Klub Kultury „Piast", ul. Spółdzielcza 4, 21-500 Biała Podlaska z dopiskiem „Konkurs Literacki J. I. Kraszewskiego". Podsumowanie konkursu odbędzie się podczas V Podlaskich Spotkań Literackich w październiku br.

TV

CZWARTEK 17 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Słodko i kolorowo
9.00 Kino Teleferii: „Zaczarowany krąg" (2) — film fab. prod. ZSRR
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „Halo, przylatuje prababcia" — komedia prod. rumuń.
16.40 Program dnia
16.45 Noc i mgła — wojskowy program historyczny
17.10 Teleexpress
17.25 „Polskie drogi" (7) — „Lekcja poloneza" — serial TVP
19.00 Dobranoc: Cypisek, syn rozbójnika Rumcajsa
19.10 Teraz — tygodnik gospodarczy
19.30 Dt
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (promocja polska cz. 1)
22.05 Dt — echa dnia
22.25 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (promocja polska cz. 2)

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Strachy na lachy" — serial animowany prod. ang.
19.00 Magazyn „102"
19.30 „Świat roślin" (8) — „Dary wonne i smaczne" — serial przyr. prod. CSRS
20.00 Studio Sport: Wielki tenis
21.00 Ekspres reporterów
21.30 Panorama dnia
21.45 Studio Teatralne „Dwójki": Jean Cau „Litość boga". Tłumaczenie: Krystyna Dolatowska. Reżyseria i adaptacja: Maciej Englert. Wyk.: Jerzy Nowak, Jerzy Radziwiłowicz, Jerzy Stuhr, Jerzy Trela, Ferdynand Wójcik
23.15 Komentarz dnia

PIĄTEK 18 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Słodko i kolorowo
9.00 Zielone Teleferie
9.30 Kino Teleferii: „Arabella" — serial prod. CSRS
10.00 Dt — wiadomości
10.10 Dt — dodatek gospodarczy
10.25 „Szczęśliwe wydarzenia" — film fab. prod. NRD
16.10 Domator: Przed weekendem
17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi" (8) — „Bez przydziału" — serial TVP
19.00 Dobranoc: Przygody Gapulki
19.10 Monitor rządowy
19.30 Dt
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (konkurs o Grand Prix festiwalu cz. 1)
22.35 Dt — echa dnia
22.50 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89 (konkurs o Grand Prix festiwalu cz. 2)

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Wzrockowa lista przebojów Marka Niedźwieckiego
19.00 Konwój
19.30 Dookoła świata: W Kapadocji
20.00 Piątek — krakowski przekładaniec kulturalny
21.30 Panorama dnia
21.45 Filmy z Humphreyem Bogartem: „Wielki sen" — film fab. prod. USA
23.35 Komentarz dnia

SOBOTA 19 SIERPNIA

PROGRAM I

8.00 Sobota na działce (1)
8.20 Na zdrowie — program rekreacyjny
8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Przygody dobrodusznego smoka" — serial prod. węgier. i „Siedem życzeń" (5) — serial fab. prod. TVP
10.30 Dt — wiadomości
10.40 Stare, nowe, najnowsze
11.20 Zdrowie — wojskowy program public.
11.50 Sobota na działce (2)
12.05 Wydzieranie morzu, czyli rolnictwo holenderskie
12.35 Telewizja prowincja
13.05 Sobota na działce (3)
13.20 Telewizyjny Teatr Prozy: Z cyklu „Mówi Chandler" — „Tajemnica jeziora" (1). Reż. Mariusz Malinowski. Wyk.: Tadeusz Huk, Krzysztof Majchrzak, Karol Strasburger, Elżbieta Kijowska, Ewa Błaszczyk, Emilian Kamiński i inni
14.35 Polaków pomnik własny — o sporze wokół pomnika Powstania Warszawskiego
15.05 Komedie, komedie, komedie: „Seksmisja" — prod. pol.
17.05 Losowanie Dużego Lotka
17.15 Teleexpress
17.30 „Babilon" — film dok. Józefa Gębskiego
18.00 Polityka, politycy: Bendżedid Szadli
18.30 Butik — magazyn Grażyny Szcześniak
19.00 Dobranoc: Przygód kilka wróbla Ćwirka
19.10 Z kamerą wśród zwierząt: Dorastamy szczęśliwie
19.30 Dt
20.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89: Gala (1)
21.45 Tydzień w polityce — komentuje Karol Szyndzielorz
21.55 Telewizyjny przegląd sportowy
22.05 XXVI Międzynarodowy Festiwal Muzyki — Sopot '89: Gala (2)

PROGRAM II

13.15 Konkurs 5 milionów — ogólnopolskie współzawodnictwo szkół podstawowych
14.00 W świecie ciszy — program dla niesłyszących
14.25 Telewizyjny koncert życzeń
14.55 Powitanie
15.00 „Ordy" — odc. pt. „Pochodzenie pisma" — serial animowany prod. japoń.
15.25 Spektrum — nowości nauki i techniki
15.40 „Hawajska przyroda" — film przyrodniczy prod. USA
16.10 Zielony świat: Filozofia przyrody (2)
16.30 „Wszechobecne mięczaki" (2) — film przyrodniczy prod. RFN
16.55 Dom XXI wieku (2): Domowa elektronika
17.15 Konwój
18.00 Telewizyjna panorama Lubelska
18.30 Szansa — teleturniej
19.30 Alfa i omega
20.00 Grają Warszawscy Kameraliści PRiTV
21.00 Studio sport
21.30 Panorama dnia
21.45 „Chateauvallon" (15) — serial fab. prod. franc.
22.35 — 22.40 Komentarz dnia

NIEDZIELA 20 SIERPNIA

PROGRAM I

8.55 Program dnia
9.00 Kino Teleferii: „Krzyżacy" — cz. 2 (ostatnia) filmu fab. prod. pol.
10.30 Dt — wiadomości
10.35 „Ludy Ziemi" — odc. 5 pt. „Campas" — serial dok. prod. hiszpań.
11.35 Kraj za miastem
12.05 Telewizyjny koncert życzeń
12.50 „Było, minęło, nie wróci" — film dok. Jerzego Porębskiego
13.30 Marek Sierocki zaprasza
14.00 Agromarket
14.35 Tupecik, czyli nasze nawiedzenie
15.35 „Panna dziedziczka" (14) — serial fab. prod. brazyl.
17.15 Teleexpress
17.30 Gdzie są taśmy z tamtych lat — program Grzegorza Lasoty
18.10 Powiększenie — fotomagazyn
18.30 Antena
19.00 Wieczorynka: Trzy misie
19.30 Dt
20.05 „Światła kabaretów" (6) — serial fab. prod. ang.
21.00 Siedem dni: Świat
21.30 Sportowa niedziela
22.30 Kinomania: Małgorzata Braunek
23.00 Telegazeta
23.05 Jutro w programie

PROGRAM II

11.00 Przegląd tygodnia — program dla niesłyszących
11.35 „Światła kabaretów" (6) — serial fab. prod. ang. (dla niesłyszących)
12.30 Magazyn lotniczy — wojskowy program public.
13.00 Lokalny koncert życzeń
13.25 Jutro poniedziałek — magazyn spraw rodzinnych
13.55 Powitanie
14.00 Polska Kronika Filmowa
14.10 100 pytań do...
14.50 Aktualności kulturalne: 35 lat pracy artystycznej Henryka Grychnika
15.05 Polacy: „Złota Wilga" — film dok. o Władysławie Nyczu
15.35 Być tutaj: gawęda prof. Wiktora Zina
16.10 Kalejdoskop filmowy „Kino-Oko"
17.00 Konwój
[illegible] Bliżej świata — przegląd telewizji satelitarnych
19.00 Wywiady Ireny Dziedzic
19.30 Festiwal malarstwa krajów socjalistycznych
20.00 Studio sport: Piłka w grze
21.00 Spotkanie po latach
21.30 Panorama dnia
21.45 „Queenie" (4) — serial fab. prod. amerykańsko-angielskiej
22.35 Komentarz dnia
22.40 — 22.45 Futurologia na dobranoc

PONIEDZIAŁEK 21 SIERPNIA

PROGRAM I

17.10 Program dnia
17.15 Teleexpress
17.30 „Polskie drogi" (9) — „Do broni" — serial TVP
19.00 Dobranoc: Porwanie złotowłosej
19.10 Gorące linie
19.30 Dt
20.05 Spektakl na bis: Bogusław Schaeffer „Scenariusz dla trzech aktorów". Opracowanie tekstu i reż. Mikołaj Grabowski. Wyk.: Andrzej Grabowski, Mikołaj Grabowski, Jan Peszek
21.30 Kroniki PAT: Tak było...
21.45 Piknik Country — Mrągowo '89 (dzień drugi)
22.30 Klub Menedżera
23.00 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 Czarno na białym — przegląd polskich kronik filmowych
19.00 Ojczyzna — polszczyzna: Obejrzeć czy oglądnąć?
19.15 Antena „Dwójki" na najbliższy tydzień
19.30 Życie muzyczne: Orkiestra Filharmonii Śląskiej w Portugalii — reportaż
20.00 Teletrans
20.30 Kierunek Berlin — reportaż
21.15 Rozmowy o cierpieniu
21.30 Panorama dnia
21.45 Biografie: „Z notatnika emigrantki" — Karen Blixen — film dok. prod. ang. Reż. Tristan Powell
22.40 Komentarz dnia

WTOREK 22 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Borowiki, kurki i inne
9.00 Wakacje z Neptunem
9.35 Kino Teleferii: „Chłopy z naszego osiedla" (5) — Wa[illegible]on cudów" — serial prod. [illegible]
[illegible] wiadomości
[illegible] — dodatek gospo[illegible]rczy
[illegible] „Gdańsk '39" (2) — [illegible]rial TVP
[illegible]10 Program dnia
17.15 Teleexpress
[illegible] 30 „Polskie drogi" (10) — [illegible]ierdland" — serial TVP
[illegible]30 Bez granic
19.00 Dobranoc: Przygody Bączka i Pączka
19.10 Od A do Z: L jak [illegible]cja
19.30 Dt
20.05 „Gdańsk '39" (2) — serial TVP
21.00 Kroniki PAT: Tak było...
21.15 „Narożny pokój" — widowisko artystyczne
21.55 Studio Solidarność
22.40 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Program lokalny
18.30 „Wojna domowa" (15) — „Siła wyobraźni" — serial TVP
19.10 Kobieta jak kot — Hanna Bakuła
19.30 Blisko nieba — magazyn alpinistyczny
20.00 Non stop kolor: „Woodstock" — film muzyczny
21.30 Panorama dnia
21.45 Non stop kolor: „Woodstock" (c.d.)
23.30 Komentarz dnia

ŚRODA 23 SIERPNIA

PROGRAM I

8.50 Domator: Borowiki, kurki i inne
9.00 Teleferie najmłodszych: Zgadywanie na ekranie
9.35 Kino Teleferii: „Legenda o żartownisiu zwanym Kurente" (2) — serial prod. jugosłowiańskiej
10.00 Dt — wiadomości
10.10 „W zasadzie jesteśmy normalni" — komedia prod. CSRS
15.50 Program dnia
15.55 Podniebne orły — program rozrywkowy
16.30 Losowanie Express i Super Lotka
16.35 Studio sport: Mistrzostwa świata w kolarstwie szosowym
17.00 Teleexpress
17.15 „Polskie drogi" (11-ostatni) — „W obronie własnej" — serial TVP
19.00 Dobranoc: Kolorowy świat Pacyka
19.10 Bocznymi drogami
19.30 Dt
20.05 Studio sport: Towarzyski mecz w piłce nożnej: Polska — ZSRR w przerwie ok.
20.05 Kroniki PAT: Tak było...
21.55 Spojrzenia
22.25 Sprawa dla reportera
23.05 Dt — echa dnia

PROGRAM II

17.55 Program dnia
18.00 Telewizyjna Panorama Lubelska
18.30 Świat festynów
19.00 Przeboje Teatru Muzycznego w Gdyni
19.30 Śpiewa Janusz Borowicz
20.00 Szkice rumuńskie — program dok.
21.00 Z ziemi polskiej
21.30 Panorama dnia
21.45 „W labiryncie" (34) — serial TVP
2215 Telewizja nocą
23.00 Komentarz dnia

ZESPÓŁ: Ewa Czerwińska, Mirosław Derecki, Ewa Dybek (redaktor techniczny), Zbigniew Dzięciołek, Wiesław Horabik, Violetta Krasnowska, Zbigniew Miazga (kierownik działu kultury i informacji), Andrzej W. Pawluczuk (kierownik działu reportażu), Waldemar Piasecki (kierownik działu publicystyki), Franciszek Piątkowski (redaktor naczelny), Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), Waldemar Stępień (fotoreporter), Leszek Wiśniewski, Izabella Wiazłowska. Korekta: Barbara Caban. Sekretariat: Anna Wójtowicz.
ADRES REDAKCJI: ul. Skłodowskiej 2, 20-029 Lublin. Telefony: 215-57 (sekretariat, redaktor naczelny), 205-34 (sekretarz redakcji), 202-91 (dział publicystyki), 208-59 (dział reportażu), 233-88 (dział kultury i informacji). Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231.
WYDAWCA: Lubelskie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa—Książka—Ruch", ul. Jasna 6, 20-077 Lublin, tel. 255-30.
DRUK: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, ul. Unicka 4, 20-126 Lublin, tel. 77-35-71.
Redakcja nie zwraca tekstów nie zamówionych, zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów w nadesłanych materiałach.
Informacji o prenumeracie na kraj i zagranicę udzielają oddziały Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki RSW „Prasa—Książka—Ruch" i urzędy pocztowe.
Nr indeksu: 37409 PL ISSN 0860-8830. Zam. 1192. 24.07.1989 r. B-5.

ANTYGONA?

Henryk Pająk

JAKI jest, to jest, ale jest prezydentem, toteż na sześć lat, a może na mniej, wypada nam nabrać wody w usta i przynajmniej powstrzymywać się od epitetów, jak to czynią niektórzy, i to publicznie, tu i tam.

Gdzie? W każdym razie poza zasięgiem sympatycznej zbitki słowno-cyferkowej zaczynającej się tak: „Ustawa z dn. 31.VII. 81 r. o kontroli publikacji i widowisk...”

Oczywiście nikt i nic nie uchroni prezydenta przed szemranymi recenzjami w pracy, przy wódce, na plaży czy w pisuarze, a zwłaszcza przed agresją słowną w kolejkach po schab za pięć czy osiem tysięcy. Nie raz i nie dwa oberwie się prezydentowi gdzieś wyżej, w parlamencie albo w „kace”. Na ogół jednak prezydent Jaruzelski będzie funkcjonował z pewnym miłościwym przyzwoleniem i pobłażaniem narodu. Prezydentura to urząd i zajęcie dość ekskluzywne, arystokratyczne, zachodnioeurbpejskie, a w kraju demokracji proletariackiej od 40 lat niespotykane i wręcz niesłychane. Ponadto prezydent Jaruzelski sam niedawno oznajmił w stosownym kontekście: „Wielu wiele się zmieniło”. W domyśle: on także. Ano, pożyjemy, zobaczymy.

Z drugiej jednak strony trochę jakby za wcześnie zaliczać prezydenta Jaruzelskiego w poczet cywilnych świętych lub zgoła męczenników sprawy. A są już na to pierwsze zakusy. Taki proces beatyfikacyjny rozpoczął Daniel Passent w felietonie „Polityki” z 29 lipca: „Z busolą ale bez mapy”. Nawiązując do decyzji o stanie wojennym, pisze:

„Tragiczną decyzję ktoś bowiem podjąć musiał i musi teraz za nią płacić — dlatego Wojciech Jaruzelski jest postacią tragiczną, jak w tragedii antycznej musiał wykonać krok, którego nie można wykonać bezkarnie”.

Pozostawmy na boku, odłóżmy na lepsze czasy spekulacje na temat bezwzględnej konieczności podjęcia tamtego „tragicznego kroku”, jakim było ogłoszenie stanu wojennego 13 grudnia 1981. Na razie korci mnie powiedzieć tylko to, że gdyby nawet Rosjanie wkroczyli, to — po pierwsze — nie byłoby walk, bo kogo z kim, a zwłaszcza CZYM, a po drugie — gdyby wkroczyli, to zostaliby na znacznie chyba krócej niż trwał stan wojenny, a po jego odwołaniu stan kilkuletniego tragicznego pata politycznego, społecznego, a zwłaszcza ekonomicznego.

JA OSOBISCIE MAM ŻAL DO MOJEGO PREZYDENTA ZA TO, ŻE POZWOLIŁ NA SIEDEM LAT TRAGICZNIE CHUDYCH W ŻYCIU NARODU. Nie za sam stan wojenny — rzeczywiście odłóżmy to na później, dla historyków, dla uzyskania niezbędnego dystansu czasowego i przyjmijmy, że stan wojenny był koniecznością. Ale stan wojenny był ogłoszony w grudniu 1981 roku, a jeszcze po siedmiu latach od tego czasu pakowano ludzi do aresztów za położenie wiązanki pod pomnikiem takim czy innym, jeśli nie należał do świętego kanonu proletariackich pomników czy uroczystości. Jeszcze przez siedem lat wielu obecnych posłów i senatorów było zwykłymi kryminalistami. Jeszcze na każde kilku — czy kilkunastoosobowe zebranie w prywatnym mieszkaniu policja polityczna miała prawo odpowiedzieć łomotaniem do drzwi i 24-godzinnym zatrzymaniem całego towarzystwa. W moim mieszkaniu kilka razy odbywał się bożonarodzeniowy opłatek z udziałem byłych dziennikarzy wyrzuconych z pracy za nieprawomyślność w stanie przed — i powojennym. Łamiąc się opłatkiem, sykaliśmy, tłumiąc głośniejsze rozmowy czy śmiechy.

Czy to zagrażało racji stanu? Te zebranka, te wiązanki, te ulotki? Czy ten stan TRAGICZNEGO pata musiał trwać TRAGICZNIE długo, bo aż siedem lat?

Ktoś powie: było — minęło. Owszem, minęło. Na szczęście.

Nie polemizuję z Danielem Passentem, tylko z takim czy innym mitem Antygony w osobie prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Antygona musiała wykonać swój krok, Generał nie musiał. Mógł podjąć prywatną decyzję o rezygnacji z funkcji ZMUSZAJĄCEJ go do podjęcia decyzji. Antygona nie mogła zrezygnować z żadnej funkcji, bo jej nie pełniła. Była niewolnicą prawa moralnego, a to nie pochodzi z nominacji. Jakiś dramaturg, jeden czy wielu, napiszą kiedyś jedną czy wiele sztuk przedstawiających gabinetowy dramat podejmowania tamtej decyzji. Zapewne będzie tam parada racji stanu, racji politycznych i geopolitycznych. Mam nadzieję, że autorzy dostrzegą też racje moralne. Nie tylko ludzkie, laickie, ale i boskie.

Piekące odium stanu wojennego będzie wlec się za prezydentem Jaruzelskim przez całą jego prezydenturę i dalej jeszcze, daleko, w nieskończoność. Nie jest on natomiast i nie pozostanie postacią tragiczną jak w antycznej tragedii. Pozostanie dowódcą, który podjął niepopularną decyzję. A potem fatalnie długo zwlekał z wycofaniem się na z góry upatrzone pozycje.

WARIACJE POCZTOWE

Zbigniew Dzięciołek

WE wtorek, 18 lipca dopadła mnie wiadomość z pogranicza absurdu i groteski. Tego dnia żona wróciła do domu, głośno „komplementując” Urząd Pocztowy przy ul. Radości na Czubach. Nie byłoby w tym nic dziwnego — wszak urzędnik potęgą jest i basta — gdyby nie fakt, że poczta chciała nas w biały dzień okraść, na co, ku zdziwieniu pań urzędniczek, żona nie wyraziła zgody. I miała rację. Nikt bowiem nie lubi, jak się go okrada, tłumacząc ten zbójecki proceder „racjami wyższego rzędu”.

Rzecz cała dotyczyła sprawy na pozór błahej, a mianowicie opłaty za energię elektryczną. Jako że Zakład Energetyczny w Lublinie przysłał za pośrednictwem poczty książeczkę opłat z opóźnieniem (termin płatności upływał z dniem 15.07.), toteż odcinek za miesiąc lipiec opatrzył dodatkową pieczątką z napisem: „Przedłużono termin płatności o 10 dni”. Wynikało więc z tego jasno, że rozliczeń finansowych można dokonywać do 25 lipca. Jakże błędne było to rozumowanie, uświadmiła żonie panienka z okienka, groźnie pomrukując: „Będzie kara”. Żona nieśmiało zwróciła uwagę, że przecież nie z jej winy książeczka dotarła z opóźnienem — to po pierwsze; a po drugie, widnieje tam wszak pieczątka prolongująca termin płatności. Widocznie takimi argumentami można się co najwyżej wypchać, bo pani urzędniczka stwierdziła, że wie swoje, a pieczątka przybita jest w niewłaściwym miejscu. Karę trzeba zapłacić i kwita. Na takie dictum żona zabrała książeczkę, nie płacąc należności.

Następnego dnia zadzwoniłem do Wojewódzkiego Urzędu Poczty przy Krakowskim Przedmieściu, prosząc o wyjaśnienie tej, absurdalnej dla mnie, sprawy. Kierownik stosownego wydziału przeprosił za to przykre nieporozumienie, tłumacząc je nieobecnością naczelnika poczty, który powinien zwrócić urzędniczce uwagę, aby bez zbędnych dyskusji przyjęła pieniądze. Sprawa już jest wyjaśniona i spokojnie mogę uiścić opłatę — zapewniał kierownik.

Uspokoiłem się nieco, że jednak złudzeń zmysłowych nie mam i czerwone plamy nie latają mi przed oczami. Z tym przekonaniem ruszyłem do wspomnianego urzędu. Jakież było moje zdumienie, kiedy przy kasie ponownie usłyszałem tę samą groźbę.

— Płaci pan karę — dobiegło mnie zza okienka.

— Słucham? — dopytywałem się skonsternowany, mając jeszcze w pamięci niedawną rozmowę z kierownikiem.

— Płaci pan karę za niedotrzymanie terminu płatności, a pieczątka jest nie dla mnie, tylko dla pana — stwierdziła krótko urzędniczka.

Ktoś tu robi ze mnie balona — myślę sobie. Głośno oświadczam, że płacić nie będę, bo to zwykła granda i naciąganie ludzi, a w ogóle cała sprawa zaczyna interesować mnie zawodowo. I wtedy się zaczęło.

— Nie ma co straszyć — replikowała buńczucznie urzędniczka, której w sukurs przyszła pani naczelnik. A poza tym co ja sobie myślę, że jak z prasy, to mi wszystko wolno — dodały obie panie.

Zamurowało mnie. No bo kto tu kogo straszy. Ja? Prosząc o wyjaśnienie na jakiej podstawie setkom osób nalicza się absurdalne i bezpodstawne kary, czy też owe panie, traktując porządnych ludzi jak oszustów, którzy usiłują narazić na straty państwową instytucję?

Po krótkiej dyskusji, która jako żywo przypominała dysputę dziada z obrazem, pani urzędniczka przyjęła pieniądze bez naliczania kary, zaznaczając jednak stanowczo, że jakby co, to kara i tak mnie nie minie.

Na koniec mam kilka pytań.

Po pierwsze. Jakim prawem poczta jako pośrednik wtrąca się w moje rozliczenia finansowe z Zakładem Energetycznym?

Po drugie. Kiedy wreszcie runą Okopy Świętej Trójcy Urzędniczej?

Po trzecie. Jak długo jeszcze będziemy w tym kraju słyszeli, że użytkownik musi niezwłocznie, jest zobowiązany, grozi mu etc., etc.

Po czwarte. Kiedy przestaniemy być traktowani jak potencjalni złodzieje i oszuści?

SKANDAL ZE SZNURKIEM

Henryk Sieńko

PRAWDOPODOBNIE nie będę musiał odszczekiwać swoich poprzednich proroctw, dotyczących zmarnowania części rzepaku. Nie znam jeszcze skali zniszczeń, ale jedno jest pewne: zbiorom grozi zatęchnięcie. Alarmowano o tym m. in. z Bełżyc i Bychawy.

W Niedrzwicy Dużej także spotkałem się z tragiczną sytuacją. Jak mnie poinformowała kierowniczka służby rolnej, p. Wiesława Gosk, w czwartek 27 lipca w miejscowym magazynie, na 200 ton skupionego rzepaku odładowano jedynie 12 ton. Na domiar nieszczęścia miejscowa STW ogłosiła strajk; rzepak skupiony na początku kampanii już był wilgotny. Szczerze współczułem kierownictwu GS-u, które dwoiło się i troiło, organizując odładunek niemal na styk, m.in. wynajęto prywatny samochód, SKR na poczekaniu podstawił cztery zestawy ciągnikowe na wyjazd do Trawnik. Obawiano się jedynie tego, czy traktorzystom starczy cierpliwości na stanie w kolejce pod magazynami.

Szefowa służby rolnej powiedziała mi:

— Dzisiaj jest urodzaj i nadmiar rzepaku, ale już za parę dni okaże się, czy w przyszłym roku nie będziemy go sprowadzać z zagranicy. Rzepak ominęły podwyżki, a jest to roślina wymagająca dużych kosztów, delikatna, zawodna... Za parę dni trzeba będzie szykować stanowiska pod zasiew, nie przypuszczam, żeby plantatorzy obsieli tyle, ile w tym roku, czyli ponad 160 ha.

Zanim trafiłem do GS-u i SKR-u, odwiedziłem sklepy, w których dotychczas rolnicy zaopatrywali się w sznurek do snopowiązałek. W pawilonie dowiedziałem się, że ostatnia dostawa była w kwietniu i nie wiadomo, kiedy będzie następna. Natomiast w magazynie z częściami i maszynami z utęsknieniem czekano na dostawę z Lublina. I doczekano się. Przywieziono sznurek sprowadzony z Czechosłowacji, po — bagatelka — 18 tys. zł za rolkę. Chłopi złapali się za głowy!!!

— Pal diabli! — powiedział Jan S. z Sobieszczan. — Przecież jak nie kupię, to nie sprzątnę zboża.

Kiedy zobaczył ten sznurek, to omal nie upadł z wrażenia. Po pierwsze: rolki są za duże i nie zmieszczą się do pojemników przy naszych maszynkach; po drugie: sznurek odwija się od zewnątrz, co uniemożliwia jego wykorzystanie, chyba że ktoś będzie szedł obok i rozwijał go w rękach. Śmiech, jaki ogarnął grupę oglądających rolkę, był na wpół śmiechem rozpaczy, na wpół radości z tępoty urzędników, mieniących się „fachowcami od obsługi rolnictwa”.

— Nasza mieszalnia pasz czeka na zboże, ale teraz najważniejszy jest rzepak — powiedział prezes GS-u, Janusz Różycki.

Zapytałem o perspektywy rozwoju hodowli trzody chlewnej na bazie pasz z tutejszej mieszalni.

— Tylko czy chłopi za te pieniądze będą wieźć zboże?! — odpowiedział.

Pocieszające jest to, że chłopi chcą hodować, jest podstawowy materiał rozrodczy, ale jeżeli nie zmienią się relacje opłacalności produkcji, to, niestety, może dojść do utraty stada macior, a w konsekwencji do załamania się hodowli.

Opłacalność produkcji świń, jak wynika z tej wypowiedzi, przypomina balansowanie akrobaty na linie.

Najbardziej optymistyczne wiadomości uzyskałem w biurze SKR-u, gdzie zastępca prezesa, Andrzej Mendel, poinfonmował mnie o bezawaryjnym przebiegu kampanii żniwnej, urodzaj ocenił na raczej dobry i zapewnił, że wszyscy, którzy zgłoszą się do niego z prośbą o usługę, otrzymają ją, a jeżeli nie zmieni się diametralnie pogoda, to za dwa — trzy tygodnie żniwa w Niedrzwicy Dużej zostaną zakończone.

W czasie tegorocznej kampanii rozmawiałem z wieloma pracownikami SKR-ów z woj. lubelskiego, chełmskiego i zamojskiego. Co mnie w tych rozmowach uderzyło? Zdaniem wielu z nich, gdyby zlikwidowano wojewódzkie związki i czapę krajową, to cena za godzinę pracy kombajnu, czy też prasy byłaby o około 50 proc. niższa. Chłopi mówią: „Już dawno powinno się te FIRMY rozpędzić na cztery wiatry!” Odwiedziłem też naczelnika gminy, Zdzisława Antonia, który powiedział:

— Jestem tu szefem od kilku dni, wcześniej pracowałem jako nauczyciel matematyki i fizyki w miejscowej szkole rolniczej, ostatnio przez kilka miesięcy byłem wiceprezesem GS-u. Wybrano mnie, powiedziałbym, w sposób przesadnie demokratyczny. Musiałem z konkurentami jeździć po wsiach i odpowiadać rolnikom na setki pytań. Szczególnie w Strzeszkowicach potraktowano nas ostro. W pewnym momencie chciałem się wycofać, miałem już dość tego szarpania. Ale wtedy okazało się, że w tych przedwyborczych harcach wypadłem najlepiej. Zarząd Gminny „Solidarności” poprosił mnie, żebym kandydował. Zgodziłem się.

Kiedy wyjeżdżałem z Niedrzwicy, pracownicy STW-u zakończyli strajk. Jeszcze raz zwyciężyła odpowiedzialność, a nie emocje. Ale czy w natłoku żniwnych nonsensów i wynaturzeń wszystkim starczy cierpliwości do walki z nimi?! Kierowcy STW pokazali, że przykładając brzytwę do szyi, można co nieco wywalczyć...